Tatry w Poezyi Polskiej



Zebrał i ułożył Józef Kantor

JAROSŁAW 1909 - NAKŁADEM KSIĘGARNI M. GUSTOWICZA

TATRY W POEZYI POLSKIEJ

TATRY
w
POEZYI POLSKIEJ

ZEBRAŁ I UŁOŻYŁ
JÓZEF KANTOR

JAROSŁAW 1909.
NAKŁAD KSIĘGARNI M. GUSTOWICZA.

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE.

Kochanym Rodzicom

pracę tę

poświęca wdzięczny i kochający

syn.

PIEŚNIARZE PODHALA

SZKIC HISTOR.-LITERACKI

„Pisałem to z serca dla podniesienia serc."
(S. Goszczyński „Dziennik podróży do Tatrów").

— „Cóż to jest o góry! ta dziwna potęga przywiązana do was? owa tajemnica, która was uświęca najświętszemi chwilami życia ludzkości? skąd to jest? dlaczego to jest? Jakiekolwiek są tego przyczyny, nie są one materyalne, tak ogromne skutki dla ducha ludzkiego nie mogą iść z przyczyn niższych, materyalnych. Wasze wybujanie nad resztę ziemi, rozleglejszy widok z waszych szczytów, rozrzedzone bardziej powietrze na nich, są to warunki zmysłowe, zbyt liche... Nie pojmuję, jakby mogły zapomocą jedynie tych środków działać na ducha ludzkiego, podsycać jego uczucie religijne, robić go zdolniejszym do życia nadziemskiego, do ofiar nadziemskich, do większej miłości Boga i ludzi!... O! nie, tajemnica ta musi się kryć w owej waszej części, której zmysłami dotknąć nie możemy w jakiemś czuciu zapełniającym wasze położenie... Może coś być w was, co ma związek z nadzmysłową istotą człowieka, niezależny,

ważny od wpływów fizycznych, a razem silniejszy, bliższy i ściślejszy". — Tak pisał S. Goszczyński w swoim „Dzienniku podróży do Tatrów". Badając przyczyny, które dały poetom naszym pióro do ręki i kazały opiewać czar i urok Tatr i opisywać dolę ludu Podhala, — widzimy, że nie sama chęć podrażnienia zmysłów cudnymi widokami przyrody tatrzańskiej to zrobiła, — ale było w ich duszy to „coś", co ich zmuszało do wspinania się po skalistej perci na grzbiety tatrzańskie, co budziło ich dusze, dawało im moc do lotów w zwyż, szlakami orłów skalnych, kazało im zaglądać śmiało w przepaście, i stąd upatrywać dróg wiodących ludzkość do celów wielkich.

Prawdą jest też to, co Goszczyński pisze: „Uczucie tu jest więcej roztopione, więcej rozlewające się, pełniej gorejące, silniej bijące ku górze, ku światom wyższym".

Za tym Kolumbem Tatr poszli inni twórcy, każdy z własną harfą, mniej lub więcej bogatą i stworzyli w literaturze polskiej „szkołę podhalańską" — jeśli o takich rodzajach „szkół" w literaturze mówić w ogóle wolno.

Nęciła już oddawna wszystkich ta pustynia skalista, co się na krańcach południowych Rzeczypospolitej rozsiadła. Dziwaczne jednak mieli poglądy o Tatrach ludzie z początkiem w. XVIII., którzy za Ks. Benedyktynem Chmielowskim,

autorem „Nowych Aten“, pierwszej — zbyt niedołężnej encyklopedyi polskiej, sądzili, że

„*Karpat* góra, a raczej długo się ciągnących gór kontynuacya, nazwana od słowa carpo, że tam zbierano i zbierają różne profity obywatele i minerały, albo od miasta Carpis starożytnych *Bastarnów*. Niemcy ją zowią górą Śniegową, Węgry Tarczal, Polacy Tatrami, iż ku krajom tatarskim nadała się; nazywają się i Beskidami. Widać z nich na mil 20, a czasem 30, gdy wypogodzona aerya. Kamień stamtąd rzucony, aniżeli się stoczy na dół, wiele innych ruszy z sobą w kompanii. Śniegi tu po całem leżą lecie, sensim (zwolna) czarnieją, w jakieś obracają się robactwo. Dzikich kóz na nich mnóstwo, nie nogami chodzących, ale na rogach się do gałęzi i skał zawieszających.

Rodzi się w nich kryształ, dyamenty, magnes, różne metalla. Na samym wierzchołku gór jest źródło, a raczej jezioro oculus maris (Morskie Oko) nazwane, gdzie sztuki statków morskich często wypływają; znać że z morzem ma komunikacyą. Z gór tych wypadają polskie rzeki: Dniestr, San, Styr, Cissa — teste Długosso“. — Zdaje się, że Chmielowski opierał swe wywody na opowieściach zaczerpniętych od ludu, który słyszał o Tatrach tyle tylko, ile opowiadali mu niektórzy z banitów szlachty, która tu się chroniła przed srogimi wyrokami trybunalskimi.

Staszyc choć wychowany na lekturze Rousseaua, mało również ma uczucia dla Tatr; — dla polityka, poety piszącego ciężki poemat o „Rodzie ludzkim", dla geologa z zabawki nie było czasu do zachwytów nad Tatrami, skoro badał „Ziemiorodztwo Karpatów". Dopiero wiek XIX. pchnął tu i etnografa L. Zejsznera i poetę-geografa Pola — a przed nimi S. Goszczyńskiego i innych — którzy uczuli w sobie tę siłę, która im kazała zająć się nietylko ludem, jego piosnkami, wierzeniami — ale otworzyła im oczy na piękność i duszę Tatr. I odtąd „gość" coraz częściej nawiedzał Tatry, ten niezwykły, ponętny swoim czarem świat, przemawiający do duszy każdego jakąś potęgą siły, dający obraz gwałtownego życia Natury — świat w którym, jak mówi St. Witkiewicz — „wre zawsze ta sama chaotyczna walka sił, jakby jeszcze nie skończył się dramat stworzenia". Ale nie sama dzika pustać, arena chaotycznej a tragicznej walki sił zatrzymywała tu „doliniaków" — nęciły ich siły inne, żywe — ludzie! Wszak u podnóża tego królewskiego świata, na skalistej jałowej, „smutnej ziemi" siadł *góral,* jedyny świadek staroświeckiej kultury polskiej, „wyrosły wśród wirchów i przepaści, chmur i śniegów, kosodrzewin i siklaw, orłów i niedźwiedzi, z ciupagą do wspinania się lub raczej

rąbania w jednej ręce, a strzelbą w drugiej“ [1]). Nie wdaję się w wyczerpującą charakterystykę Podhalan — na to trzebaby osobnej rozprawy — lecz ograniczę się do zebrania cech charakterystycznych górali podtatrzańskich na podstawie dzieła St. Witkiewicza: „Na Przełęczy“ [2]).

„Górale — pisze on — to rasa obdarzona przymiotami intellektualnymi, które jej nadają cechy genialności. Wykwintność towarzyska, czujna rozwaga, bystrość umysłu, własny obyczaj, dawna kultura polska przechowana i udoskonalona przez nich, świetne formowanie swych myśli, szybkie pojmowanie, dusza artystyczna, gorąca miłość dla swej ubogiej i skąpej w dary ziemi — Oto ich dobytek cywilizacyjny własny, a nie nabyty od mieszczan... A przytem lud od dawien dawna, niemal od wieków — wolny, bezpański więc hardy, dumny, umiejący utrzymywać swój honor chłopski, łakomy na swobodę — śmiały i pewny siebie“. — Natura rozbudziła w nich wszelkie władze: przytomność, szybkość w oryentowaniu się, rzetelną pracę — dumę, miłość własną, rozum bystry i do wszelkiej „majsterki zdolny“, bo góral sam się odziewa, ubiera i stroi swe ubranie prze-

---

[1]) W. Feldmann: Piśmiennictwo polskie. r. 1905. t. II, st. 77.

[2]) Wiele też uwag o gwarze, stylu Podhalan — podaję na podstawie tego dzieła.

pięknie i sam „kazdom rzec“ do chałupy se sprawić umie, bo „światowi ludzie, to jino ucyganiom — a dobrze nie uzdajom zadnej roboty“.

Najwyżej postawił on w swej wyobraźni zbójnika — lecz nie tego, który rozbojem, nędznem złodziejstwem się trudnił, który wyzuł się ze wszystkich dodatnich rysów. Zbójnik, to bohater-rycerz — co — jak czytamy w „Marszu zbójnickim“ K. Tetmajera —

Jak padnie mu — budzie cirnom ziemie gryz
a jak padnie — talarkami, dukatami budzie siał,
na kazdy dzień freirećku-kohanećku budzie miał —

a

za dak mu las — za posłanie mokwa, chraść!
Jak mu padnie talarami-dukatami budzie siał
A jak padnie siubienicom — budzie se nim wiater chwiał!“

Zbójnik to — Farys tatrzański — beduin tej skalnej pustyni — junak, dla którego mord jest wstrętny, to silny, mężny dbający o cześć swoją i towarzyszy bohater wypraw dalekich w „uherskie“ krainy po „turoski“ (dukaty węgierskie). Dla tego „dobrego chłopca“ honorem było wieść takie życie. Od młodości on już się uczył „przeskakować z bucka na jedlickę“ — a kiedy go harnaś do gromady przyjął — szedł na zbój — ale biednego nie krzywdził, lecz co bogatym wziął, rozdawał między ubogich —

„świat równał" — jak mówią górale. Na nich wszyscy patrzyli z uwielbieniem, bo byli uosobieniem siły, hardości, pogardy śmierci — i oni podobno na Podhalu wprowadzili zdobnictwo w ubraniu. „Chłopu ginąć na pościeli — mówił Sabała — to nie honorna rzec" — to też dla zbója najpiękniejszą była śmierć na szubienicy. Ale jak honornie a wesoło, z pogardą śmierci, ginie na niej:

Kiebyk ja tez wiedział
Ke jo budem wisioł
Tobyk siubienicke
Złotem se obić doł!

A przed śmiercią prosi „mistrza"

„Obroć mnie mistrzycku
Ockami ku drodze
Niek jo se przibocem
Ten zbójeckom chódze.

Inny prosi znów, niech mu przy szubienicy

„baryłkę z palenką powiesom
Tam se budem wisioł, budem se spocywał
Tam budem co fila palenku popijał,

będzie się oglądał za swoją kochanką, bo

„Zbójnika frajerka syćko popłakuje
Zbójnikiem na haku wiater porusuje.

Tak ginął i Kostka Napierski, co to na Podhalu wzniecił powstanie przeciw stryjowi,

Janowi Kazimierzowi. Kiedy go na pal miano wbijać — to patrzał ku Tatrom — duszę wtopił w Podhalańców, zdawało mu się, że lada chwila zakurzy się na gościńcu, zatrzęsie się powietrze i górale jego kochani spadną jak halny wicher odbić swego wodza. A dojrzawszy kobziarza z pod Tatr, przyzwał go ku sobie i grać mu zbójeckiego kazał i przy dźwięku tego tańca dzikiego — wbito go na pal [1]).

A tak honornie ginął nietylko on sam, tak ginęli wszyscy zbójnicy — tak zginął najsławniejszy ich herszt, „harnaś", Janosik, (podobno z początkiem 18 w.) wcielenie marzeń ludu Podhala, uosobienie swobody i bohaterstwa górali, co z cesarką Tereską tańczył dni i nocy trzy — i za regiment wojska sam obstał — ale go frejerka Hanka Bunkoszka z Kokawy na Liptowie zdradziła, za co wedle króla rozkazu

> Po wiek wieków i po wszystkie czasy
> Liptów cały, że dał Janosika
> — — — — — — — —
> co mi wartał za trzy regimenty
> do królewskiej będzie płacił kasy
> cwancygierów rok rocznie ćwierć korca [2])

Posłuchajmy co Sabała opowiadał o Janosiku: [3])

---

[1]) Wł. Orkan: Kostka Napierski. Krytyka r. 1903.
[2]) K. Tetmajer: Janosik.
[3]) St. Witkiewicz: Na przełęczy.

„Z młodości ino na piecu leżał i wylegiwał się na tym piecu i ciągle ozmyślował, coby zaś miał na świecie konać. Ale, to silne było chłopcysko, to zaś tam jakiegoś wołu chowali — Janosikowi było ośm roków i wołowi ośm, to go brał i nosił przed sobom. I dobrze niebardzo, poseł ociec na jarmark woły przedawać, a tymcasem Janosik se uradził śpróbować, jakąsby on miał siłę. Ten ociec woły przedał, idzie z jarmarku, a Janosik idzie na proci i zastąpił go, piniądze odebrał i poleciał przed ojcem i na piecu lóg. Przyńdzie ociec dó domu: „No, przedaliście woły?" — Juźci ociec ozpowiada, jako zbój go zastąpił i piniondze wzion.

— I jakiz on był? Cy był teli co ja?

— I, co ty smarkacu stois proci niego!

Skoro zaś tak uzartował, oddał mu te piniądze i poseł chodzić po halak. Zaseł do Ilcyka, — owcarzował tamok na sałasie, — ale ten nie kciał ś nim towarzysyć, do trzok razy nie dał mu pokoju — musiał iść ś nim. Juźci zebrał towarzystwo, było ik pięci, zaś Janosik i Bacyński, to juz ci jako w równi z sobom byli — Janosik piersy harnaś, zaś Bacyński drugi.

Jak sie uzdobierali jeden do drugiego, tak potem śli na pieniądze. Janosik wiedział takie dowody, — zaślepić se wiedział, choć kany przyseł, to go nie widzieli; kie nosił ciupage, to ta ciupaga sama sie rąbała za nim, kie go łapali.

Dopiero śli w Polskom, złota, śrybła było beckami, to takie piniądze on brał i chował. Ale to wtedy świat nie był taki jako dzisiok — lasy były wielgie, kieś seł, to ino do nieba co widać było. Hej! Ale, oni, mieli takom wódke pacholskom, co jak nogę popod kolana posmarował, a wypił niemoc, to go więcej nosiła w powietrzu, niźli on sam seł. Tej wódki teraz nimas, bo ta wódka z grzehem była, to Ociec święty zakazał to w Rzymie.

A ludziom (t. j. chłopom) nie robili nic. Cheba furman bogaty, pan, albo kase cysarskom wzieni — to takie rzecy brał!

Studenci, kiej śli do Węgier, dó domu, to on im naryktował sukna, a poodmierzował od bucka do bucka. He, on biednyk ludzi nie napastował, ino prędzej zratował!

Była pod Wiedniem karcyma, to samej cysarzowej odpisał, coby przysła, przyniós złotom kurę i dwanaście jajek, to przysła i tańcyła ś nimi haniok bez całom noc. Hej!

Zaś kiej im cego hybiało, cy sukna, cy jakiego sprzętu, to śli do Krakowa, przyśli cosi o zmroku, on kupuje i kupuje wsędy, to jedni śli za nim, a drudzy do woza nosili, a potem pojehali.

On, co naznosił pinię̨dzy z Polski, to som pochowane pokłady, i on to ofiarował młodemu królowi na ratunek.

I jedna stara baba mu przykazała tak: „Dotela bedzies chodził, pokiel z cłeka krwie nie wypuścıs“.

Jużci, beł ś nimi student, i raz co sie nie zrobiło: kleknon se Janosik pod smreckiem paciorek zmówić, a to plugastwo strzeliło do niego z flinty, raz i drugi, ale Janosik sie modli i nie obziera, bo go sie kule nie imały, dopiero ten strzeli trzeci raz, Janosik paciorek zmówił, porwie sie i zabił tego studenta.

No i dobrze niebardzo, — toz to potem Luptacy zjednali jego frajerke, i ona go zdradziła. Jużci zajeni go, siubienice wystawili i mieli wiysać. Ale on odpisał do cysarza, co on sam stanie za jeden regiment wojska, zaś drugi zapłaci ze swoik piniendzy. I cysarz odpisał pismo, coby go puścili, ale zakiel to pismo przysło Luptacy Janosika powiesili; toz to wisiał, a fajke palił i funt habryki (tytoniu) wykurzył, zacym umar. Zaś Luptacy, jako go powiesili, płacom cysarzowi i dzisiok za dwa regimenty piniondze. Hej! [1])

W opowieści tej, a raczej szkicu epicznym na wielką skalę zakreślonym, mamy nietylko obraz hardej duszy Janosika, który zyskał sobie u ludu mieszkającego wokoło Tatr sławę

---

[1]) „y“ w wyrazach „cysarz“ cy, przykazała, piniendzy, przysło, llcyk, łasy, rzecy czytaj jak „i“ twarde np. przisło.

bohaterską Achillesa, ale uderza nowa rzecz, to jest g w a r a Podhala.

Gwara Podhalan — to szanowny, drogi zabytek naszego staropolskiego języka, jego tężyzny, mocy wyrażeń, jego obrazowości przebogatej. Nie dziw też, że gwałtem swoją pięknością, majestatem zaciężyła ta gwara w literaturze naszej i wzbogaciła ją „Krzyżakami" Sienkiewicza, a nikt tak nią po mistrzowsku nie włada jak Tetmajer czy to kiedy pisze epiczne obrazy „Na Skalnem Podhalu", czy uderza w lutnię rapsodów starożytnych, śpiewając Janosika losy. A obok niego kroczy zadumany nad „smutną ziemią" Orkan, „którego utworom gwara Podhalańska nadaje szczególne, pełne charakteru piętno" [1]) dalej Stanisław Witkiewicz, Gwiżdż, St. Eljasz-Radzikowski, Brzega i inni.

Obok gwary, której wróży wielką przyszłość St. Witkiewicz, jeden z najlepszych znawców Podhala, dały Tatry polskiej kulturze pieśń i styl.

Pieśń Podhalan pozbawiona deklamacyi, próżnych słów, łączy się ściśle z życiem górala, jako nieodłączny czynnik tego życia bujnego. Góral tę samą pieśń zły, smutny, dobry, wesoły — a zawsze inaczej — niby na tęsamą nutę śpiewa — choć tam czułe ucho dosłyszy

---

[1]) St. Witkiewicz: Z Tatr. 1907. str. 74.

nawet drgnienie serca jego i rozezna stan tego serca, wyśpiewującego czy swoje „pocieszenie“, czy „biedę“. Śpiew Podhalanina dzikim jest, jak jego dusza, czasem znów tak smutny, że przypomina dumkę ukraińską, wlokącą swój smutek w nieskończoność stepową, to znów wesoły, swobodny — jak parobczak, który myśli tylko o użyciu swojego życia, czasem zawiedzie tęskna kochanka tak „żałośnie“ z takiem gorącem „piosnecke“, że serce się kruszy parobczakowi i zostaje przy niej, niezważając na to, co go czeka. Inaczej śpiewa góral, gdy wspomni sobie Janosika, zbójników sławę, ich „honor“, odwagę, wyprawy, śmierć, inaczej gdy o swej kochance marzy, inaczej mały chłopak przy paszeniu krów, inaczej siedzący na samotnej turni juhas, gdy patrzy na „bielicki“ swoje, pasące się po halach, inaczej starzec, który tylko „śterok desek“ się spodziewa dla siebie w tem życiu — a inaczej, gdy parobczak czy dziewka szydzi z kogoś, co im niemiły.

Piosnki te krótkie, ale treściwe, pełne obrazowości, przenośni, oddają całą duszę górala, każdy stan jej; sławią urodę dziewek, pracowitość, obyczaje, miłość bez zastrzeżeń, gorącą, namiętną a serdeczną, zbójnickie życie — w każdy szczegół niemal ich wglądną, opiszą go, wysławią [1]).

---

[1]) Ciekawych odsyłam do zbiorów L. Zejsznera, Stopki

Styl zakopiański — to trzeci klejnot jakie dało Podhale Polsce. Wywalczył mu pierwsze miejsce St. Witkiewicz. Poznać go dał szerokim masom Matlakowski [1]) i St. Witkiewicz [2]). Początki to dopiero pracy tej, jaką należałoby rozpowszechnić w całej Polsce, w każdem mieście, ale „jest wiele wskazówek, że to powstanie Zakopiańskiego Stylu jest może odrodzeniem tego, co w miarę jak ważniejsze warstwy społeczeństwa ulegały wpływom rozmaitych odcieni cywilizacyi zachodniej znikało ze dworu, zamku, a nawet chaty w dolinach, tu, za lasami i górami, przechowało się, jak utajona, zdolna do rozwoju siła cywilizacyjna — że Styl Zakopiański jest może zaginionym Stylem Polskim.[3]) Góral ozdobił po swojemu nietylko chałupę zewnątrz, ale każdy sprzęt w domu, nawet fajkę, cybuszek „piposór", a ubranie to już całe na nim kwiatami ozdobione, nawet kyrpce „wyteremtetowane, jak się patrzy".

Ci, którzy tu pierwsi przyszli z duszą bogatą, wrażliwą, zobaczywszy jakie to skarby kryje w sobie ten lud zamieszkujący ziemię, w której „chleb sie końcy, a woda i skale sie

---

i moich — umieszczonych w Materyałach antropol. Akad. Um. w Krakowie w r. 1896 i 1906.

[1]) Zdobnictwo na Podhalu, nakł. Ak. Umiej.

[2]) Na przełęczy, [3]) St. Witkiewicz: Z Tatr.

zacynajom" — zachwycili się nim i ściągali tu Polskę całą. Poczęło się to z chwilą, kiedy tu przybył T. Chałubiński, a z nim Eljasz. I ci dwaj razem z pierwszym proboszczem zakopiańskim ks. Stolarczykiem, zapalonym taternikiem (tylko nie w guście dzisiejszych groteskowych taterników), wziąwszy Sabałę Jaśka ze sobą, szli zbójeckiemi perciami w turnie, na wierchy nieznane przedtem i tam rozbijali namioty, niecili watrę, a jeśli i muzykę ze sobą wzięli, to zbójnickiego tańczył Sabała — a potem do snu kołysał ich podmuch halnego wiatru i stary Sablik opowiadaniami usypiał swoich dobrych „Ik Miłości".

„A brzmiały w tem opowiadaniu potężne nuty o dawnej sławie górali, zbójników, o Janosiku o wyprawach własnych na kozy, świstaki i na wielkiego „dźwierza", niedźwiedzia — albo otwierał im świat czarów, dziwów, zaklęty świat Tatr podziemny z jego wojskiem śpiącem, z jego bogienkami, dziwożonami, królem wężów, mnichami i dawał ich fantazyi pokarm piękny, czarujący. Sabała, kiedy opowiadał, to czuć w nim było Homera, z jego obrazowem przedstawieniem rzeczy; te bitwy z Liptakami, te tułaczki po górach, to uganianie się za niedźwiedziem, to zmaganie się ciągłe z naturą dziką brzmiały w uszach słuchaczy, jak potężna jakaś harfa i słuchając jego opowiadań, nie można było

odeń oczu oderwać, słuchowi dać odpoczynku — bo on porywał w swój dziki, zbójecki świat — sposobem opowiadania i swym stylem bogatym. Wierchy i przepaście, orły i niedźwiedzie, blaski słońca i cienie chmur, skały i śniegi, szum wód spienionych, wściekłe poryki halnego wichru, ten cały świat, który „ma swoje dogadanie jak i cłek" — żyje w jego mowie objaśnia się wzajem, ozdabia, uplastycznia — a zawsze ciepłe i miłe światło humoru go oblewa „bo — jak mówił Sabała — smutkiem sie zyć nie opłaci" — Panu Bogu zal ze takiego stworzył". [1]) Weźmy na przykład jego opowiadanie: [2])

„Ráz co sie nie robi, ozesłáł Pániezus karby, coby sie syćka święci wocymieniu ześli do gromady — haj.

I dobrze nie bardzo ukwalujom, ukwalujom, jaze ukwálili coby cłekowi dać rozum, bo go ta — prosem pieknie — dáwniej ni miáł takiego dobrego, ino taki, jako i kazdy dźwierz—haj.

Jaze, co sie nie robi, wypisali janieli pisma, a Pániezus trzimáł syćko piecontke nad kaganke, a kie wtóre pismo juz było napisane, toz to wartko jom prziłozył.

Pies sie zaś hnetki wyryhlił i pedziáł, ze

---

1) St. Witkiewicz: Na przełęczy.
2) A. Stopka: Sabała. Kraków 1887.

pismo ludziom zaniesie. On wse cłeka straśnie — prosem pieknie — rad widzi — haj.

Jaze mu Paniezus tak padá:

— Lećze, leć, wartko, co uwidzem, cy hnetki zájdzies. Pies hybáj bez pole. Uleciáł hnet tęgi kawáłek, toz to dáł mu Paniezus pismo i tak padá:

— Nyści to, leć wartko i oznieś ludziom. Ino uwazuj, cobyś nie potracił.

Pies leci, leci, nozyska go bolom, bo to przecie z nieba do nás prec — haj.

Przileciáł na ziem i miáł już ozdawać rezolucyje, kie spotkáł kotke, co śniom znajomy był i zacyni se ukwalować.

Pies był zły rezolucjárz, bo prasnon torbe z pismami na ziem i zacon kotke bośkać, haj. Zabocył se, co mu Poniezus napedział — haj. Jaze go kocór użre. Tozto wartko przistrzóg sie, łap torbe i hyboj ś niom dó domu. Showáł jom pod dyle w izbie, coby mu jej pies nie nalos.

Jaze przisły mysy i pojadły rezolucyje, pozlizowały lutery — haj — ino dziwtore ostały.

I dobrze nie barzo, kie pies wróciéł do nieba, pytá sie go Poniezus tak:

— Cemuś nie zaniós ludziom syćkim pisanio jakok ci ozkázał?

A on mu tak padá:

— Jakoz miáłek oznieść syćkie, kie mi kot

pisanie ukrod, źle shował, tos to mysy ik pojadły i lutery pozlizowały — haj. — Pocóz ik pisali słodcy janieli słodkim atramentem — hę?

Kázáł Poniezus zawołać ludzi i mysy i tak pada: Ja temu nie winowaty, ze nie syćka rozum mácie, ino pies, to ś nim sprawa — haj.

Temu to — prosem pieknie — człek zły i głupi to wse na psa skałom ciśnie — haj — abo go kijem praśnie.

Pies, to zaś kota syćko goni, coby sie na nim za pisanie zemścił. Zaś kot mysy łapie i zjádá, bo ony temu winowate. Pojadły, pozlizowały pisanie—haj. Já tak uwazujem ize temu syćkiemu pies winowaty. Kieby był kotke nie zalubił, toby był o torbce nie zabocył — haj.

Ale baba jako baba. Wse hłopa wywiedzie, zrobi niescęście, co strak, a ty hłopie pote pokutuj — haj.

Kieby ik człek — prosem pieknie — nie zalubił i nie wierzył, to onoby ta było, ale jakoz babom nie wierzyć? — haj".

Tu jest świat wyobrażeń religijnych górala, styl jasny, obrazowy, jędrny, pełen siły, a humor prosty, zdrowy. To też, kiedy mowa o literaturze, jaką wydały Tatry — Sabałę trzeba uznać za pierwszego epika Podhala. Wszyscy poeci, artyści naszej współczesnej literatury z tego języka Sabałowego, z jego wyobrażeń, wzięli własny język, moc jego i każdy z nich

duszę swą nim napoiwszy — począł śpiewać, tworzyć po swojemu, ale na „nute podhalańskom“ mniej lub więcej udatnie, starając się zbliżyć do wzoru, oddać duszę Tatr i ich mieszkańców, wyszukać tę moc, to „coś“ — które i Goszczyński tu szukał i tak się zrodziła tak zwana „szkoła podhalańska“ w dzisiejszej literaturze polskiej.

Jak niegdyś w początkach romantyzmu barwny step ukraiński i ciche lasy i jeziora litewskie — tak dziś ożywiły poezyę najmłodszą Tatry i sioła nasze i z nich czerpie ona nowe siły. Ale w poezyi Tatr nie tylko samą przyrodę spotykamy, ale i lud — jednak nie ten dawny sielankowo rozmarzony, tylko taki, jakim on jest naprawdę; barwny w święto i codzienno-szary, tu oglądamy i zamożnego gazdę, zajmującego już jakiś honorny urząd w gromadzie i nędzarza komornika, „dziada“, bezrolnego i bezdomnego, a lud ten usiłuje mówić po swojemu, własną mową, bo chce, by go rozumiano. I tak uludowia się nasza poezya, schodzi w najskrytsze tajniki duszy jego, śpiewa o „powieści drzewiej“, „braci się z najmłodszemi ostojami narodu, budząc do życia śpiących w imię zasady „przez lud do narodu a przez naród do człowieczeństwa“.

Pierwsi poeci Podhala romantycy, jak S. Goszczyński, W. Pol, Wasilewski, Podtatrzanin

(Ksiądz Maniewski), Z. Stęczyński dają się olśnić piękności Tatr i śpiewają we własnym języku o świecie czarów, dziwożon — jak Goszczyński — lub sławią piękne przymioty ludu podtatrzańskiego, jak W. Pol, a Wasilewski spisuje wrażenia, jakie wywołał w nim łańcuch gór.

S. Goszczyński wierszem i prozą zapoznawał Polskę z urokiem Tatr i ludem ich — dał się porwać i ogarnąć ich „niesamowitemu urokowi", widział w nich potęgę tajemniczą, czuł ją w swym duchu, ale zbyt bliskim był sentymentalnych poetów ludowych, by módz przedstawić chłopa prawdziwego. „Sobótka", „Straszny Strzelec", „Kościeliska" mają tło raczej etnograficzne, ale nie znać tu potęgi, jaką wywiera widok Tatr na duszę późniejszych poetów. Romantyka zajmowała przyroda, o ile była schroniskiem cudów, dziwożon, topielców, bogienek i mamun. A chociaż na wymarciu już była wtedy wiara w „duchy", to jednak jeszcze widywano „Mnicha", wierzono w króla wężów, a byli i tacy, — żyją między starymi i dziś jeszcze, co go na własne oczy widzieli, jego złotą koronę, a grzechotkę u ogona, którą zwołuje gromady wężów na naradę; znali wtedy gazdowie, myśliwcy dziwożony, boginki — wiedzieli, gdzie mieszkają, a w Sabale to jedna z nich — jak sam opowiadał — tak się zalubiła, że tylko spryt żony uwolnił Jasia Sablika od Bóg wie jakiej miłości!

Otóż dla tej to wiary, tej tajemniczości gór — czułe miał ucho przyszły Towiańczyk i w przedstawieniu tego świata okazał się mistrzem.

„Ależ bo wówczas, ziemio staroświecka!
Dzisiejsze dziwy dziwami nie były;
Grały widomie niewidome siły
I pilnowały człowieka, jak dziecka.
W powietrzu, w drzewach, w kamieniu, pod wodą
Krewne spółczucie ludzie znajdowali,
Bo nie gardzili naówczas przyrodą,
Bo ją, jak matkę, znali i kochali". [1])

W. Pol ze swoim animuszem staroszlacheckim, z usposobieniem gawędziarza, z ukochaniem dawnych czasów przybył tu i zachwycił się postawą górali, ich serdecznością, pobożnością, gościnnością, ich rozumem z „rodu" i dla doli jego okazał współczucie, wierszem ubrał niektóre jego legendy i klechdy — jednak czując ogrom, siłę i majestat wierchów, nie kwili ani z jękiem w piersiach nie błąka się po jałowych polach i do dzisiejszych może „paniczów" odzywa się po staropolsku — a szczerze:

„Po co my nosim naszą nędzę w góry,
Skąd wracać trzeba z żalem i tęsknotą?
Bo czy się zmierzyć z ogromem natury,
Czy z górskim ludem i jego prostotą
I duch i serce miary nie dotrzyma".

---

[1]) Sobótka.

i niby poprzednik Asnyka radzi:

Więc lepiej zlać się w miłości z drugimi!
Pyłkiem i kroplą popłynąć wzdłuż ziemi,
Razem z drugimi, bez rachuby, wieści,
Bez szumu, gwaru...
. . . .
I niby kropla w morzu życia spłynąć.

Lecz i jego ból owłada, gdy patrzy na życie ludu trudne, cierpkie i gorzkie, na ten lud znoszący bóle po chrześcijańsku, bez sarkania na niedolę — a tymczasem filister miejski bawi się ludem jak dziecko cackiem i psuje go, manieruje i dla tych „ceprów“, panów ze świata, daje radę piękną:

„Bo na to, byście stąd wracali krzepsi
Na duszy waszej i w ciele wzmocnieni,
Potrzeba, byście tu przybyli lepsi
A ludzie po was nie byli zgorszeni“.

Po Wincentym Polu przybył tu B. Stęczyński, trochę poeta i artysta-malarz, a po nim Ks. Maniewski, autor wydanego w Wiedniu w r. 1866 zbiorku poezyi p. t. „Tatry“. B. Z. Stęczyński w r. 1860 wydał opis Tatr rymowany, ozdobiony przez siebie wykonanymi obrazkami widoków tatrzańskich. Opisywał je, jak i całe Podkarpacie nowosądeckie, nie dla sławy poetyckiej — bo też poetą — artystą nie jest, ale dla zadośćuczynieniu mi-

łości dla cudnej przyrody. Sam zresztą usprawiedliwia się z tego w zakończeniu swego dziełka:

„O! Nie bierz mi za złe uczony rodaku,
Że Tobie nie sprawiłem wrażenia i cudu,
Bom ja gęślił umyślnie dla naszego ludu."

który przecież

„...Życzyłby sobie nad swojem podumać
Ożywić się przeszłością, z przyszłością pokumać,
On szanuje tę ziemię, na której się rodził,
Na której jego ojciec, dziad i pradziad chodził,
Gorejąc dla niej szczerem płomieniem miłości,
I w niej drogie dla wnuków swoich składał kości!"...

Jednakże miłe są te obrazki, mimo słabej ich formy, bo dyktowało mu je tkliwe rodzinne uczucie, silna miłość natury i chęć zaznajomienia narodu z podaniami, legendami, obyczajami ludu górskiego i obrazami przyrody tatrzańskiej.

Chadzała tu więc oddawna cała Polska wrażliwa na piękno Tatr, pragnąca poznać lud, zetknąć się z nim bliżej. Na ścieżaj otworzył wrota Tatr Chałubiński i Sabała Jaś, Ks. Stolarczyk i Eljasz.

A z nimi szedł na wycieczkę i Asnyk, nie wiedząc, że w czasie noclegu pod Wysoką duszę jego przeinaczą Tatry i lud ich. Szedł nęcony światem czarów, wierzeń, boginek, tajem-

nic przepaści i pieczar, by podziwiać uśmiechnięte wiecznie doliny, a wrócił z nich z duszą czułą na niedolę ludu, jako rycerz z hufca tych, co zaklęci czarem potęgi króla Bolesława Chrobrego zasnęli twardo na kamiennych łożach, wrócił jako bojownik idei społecznych, miłośnik maluczkich, jako poeta natchniony i pełen wielkich myśli nad stanem dzisiejszego społeczeństwa. I stał się ojcem dzisiejszych pieśniarzy Podhala przez to bogactwo strun swej harfy i na każdej z nich zagrał pieśń, jakby początek całej gromady pieśni, jakie dziś rozbrzmiewają w „Młodej Polsce". I od jego czasów Tatry zaczęto „deptać", zaczęto zaznajamiać się z poszczególnemi nazwiskami tych wniebowstępnych krzesanic; — wślad za dawnym „polowacem" kozy i niedźwiedzia wdzierać się począł teraz na wierchy turysta miejski, artysta malarz, architekt i poeta. Hasło tej „szkole podhalańskiej" dał cykl poezyi jego p. t.: „W Tatrach" wyd. w r. 1879.

Wobec przyrody tatrzańskiej, jej ogromu, majestatu i czaru staje Asnyk jako esteta i myśliciel.

Patrząc na *Morskie Oko, Limbę* uchodzącą w wyżyny przed karlim rodem świerków, *Burzę, Ulewę,* — unosi się nad pięknościami widoków, ale zarazem nie zapomina, że jest myślicielem i z godnością filozofa roztrząsa stosu-

nek człowieka do przyrody lub też z jakiegokolwiek szczegółu opisu snuje myśli społeczne.

W *„Nocy pod Wysoką“* zespolił się ze światem, błogosławi moc przyrody, która zawsze najlepiej leczy smutki, palący ból życia łagodzi i dopiero wobec niej człowiek czuć się może jednym z trybów wielkiego koła ludzkości podległym twórczej myśli Boga. Tu, jak ze źródła, dusza każda napić się może prawd odwiecznych, w których skąpać się może, odświeżyć i zmężnieć.

Za Asnykiem poszedł w Tatry Fr. H. Nowicki ze swoją gorącą, wrażliwą duszą, by tu dla ducha swego szukać swobody. Przyszedł tu młody, z wulkanicznem uczuciem i dał się porwać sile wrażeń, lutnię tu swoją znalazł, uderzył w nią z młodzieńczym ogniem, wyśpiewał na niej wspaniałe wizye mocarnych wichrów i gromowy huk Siklawy i ból — i niestety „zabaczył“ wziąć ją z Tatr z sobą, by dalej już nie śpiewać. Jakby sądził, że poza Tatrami — niemaż miejsca dla jego poetyckiego ducha!...

Jego sonety stawiają nam przed oczy przepiękne wizye przyrody tatrzańskiej, w szacie tak artystycznej, że śmiało obok sonetów Mickiewicza stanąć mogą. U obu widzimy tę samą przesadę w kreśleniu obrazów przyrody, te same wybuchy tęsknoty i żalu, ten sam nawet rozwój

uczuć i myśli — a wszystkie czynią potężne wrażenie. Nowicki widzi w Tatrach „swobody ołtarze“, w pędzie wód nieukojoną niczem tęsknotę młodości, która po drodze traci pióra „skrzydlatych zamysłów i rojeń i wracać musi cicha „bramą zawodu“, by zobaczyć na dolinach „ćmiące mgły nad czołami ludzkości“, które chyba siła halnego wichru może rozpędzić. Jednak czuje jego młode serce, że zakwitnie kiedyś wiosna dla ludzkości, i wstanie ona świeża i młoda, jak ta „boża łąka, hala zielona“, która wiecznie żyje w łonie czarów. Ale wnet przypomina sobie tragizm życia ludzkiego, patrząc, jak tu człowiek, z instynktem zwierzęcym, wychyla się z poza turni i upatruje kozicy, zastawia na nią mordercze oklepce; to znów boleje widząc, że piorun nie oszczędza gniazda młodych orląt, którym troskliwa matka niesie żywność, bo nagle krzyk straszny rozbija się wśród przepaści:

To grom rozmiażdżył gniazdo z dziećmi orlej matki!
Nie słuchaj... ten krzyk orła — lodem ścina żyły!..

To znów pyta tych, którzy są trupimi pomnikami przeszłości, wsteczników, walczących z tymi, którzy młodą pierś muszą krwawić w walce o postęp ducha, o hasła wielkie:

„Czy znacie wy pustyni tajemnicze głosy?
Które szepcą o walce kosówek ze zwietrzałymi

Kolosami granitów, zasypującymi je śniegami?
Nie troszczą się one o los swój, bo
...my idziem ścianą
Na was zwolna, lecz ciągle — na nic ważąc ciosy.
Gdy my legniem w tym boju; tłum niski i podły
Z naszych prochów się zrodzą większych synów szyki,
Wielkie lasy i będą nasz bój dalej wiodły
Aż pogrzebią was trupie przeszłości pomniki".

Tak wierzyć, czuć, myśleć może tylko młodość pełna siły duchowej. Ten swiat wierchów hardy, dumny, zwietrzałych kolosów, dla orłów gromy mający, trzeba brać szturmem, męstwem, poświęceniem, wiarą w zwycięstwo — jak Nowicki Tatry brał. I ten młody duch, krzepkie siły, serdeczne ukochanie Tatr, jakie w większej mierze spotykamy tylko u Tetmajera, wspaniały styl poetycki, umiejący zakląć wizyę sinych Tatr w przecudny obraz, spiżowa moc prostoty, przejrzystość — oto cechy pieśni tatrzańskich Fr. H. Nowickiego.

Za nim poszli w Tatry inni — lecz niestety nie wszyscy po to, by tu sił zaczerpnąć, bo wielu siada na turniach, nie żeby w przyrodzie tatrzańskiej nabrać sił do walki z niemocą, która, jak robak gryzie ich dusze, lecz rozkoszować się bólem i na smutną nutę tylko śpiewać chcą. I zawładnęły Tatry odtąd w zupełności poezyą polską — bo prawie każdy pieśniarz współczesny śpiewa coś o nich — ale i prozą.

St. Żeromski „Popioły" swe pod Ta-

trami tworzył i wyśpiewał najpiękniejszą pieśń, napiętą na ton wysoki, a w zapamiętaniu swym tak bolesny — pieśń o miłości dwojga ludzi, Rafała i Heleny, żyjących dość długo szczęśliwie wśród halnej „łąki-kochanki".

Żeromski patrzy na Tatry i oczyma obojga kochanków — ale i swojemi. Ból, pesymizm nie opuszcza i tu wielkiego artystę i człowieka. Lituje się „nad przeklętą dolą napoły zgniłego kloca, leżącego w poprzek strumienia. „Woda go jadła przez lata. Chciwą i wściekłą żuchwą, białymi kłami pian gryzła go wciąż bez jednej chwili wytchnienia". — Rafał i Helena płaczą z zachwytu, patrząc na ten piękny, a bezludny przestwór. Kochankowie wywołują swe imiona przemienione w pocałunek — a „wysmukłe szczyty wapniaków, niedostępne zwały granitów, lochy i podziemia, lasy i potoki wołają ich po imieniu. Wydawało im się wtedy, że te góry wołają same, że się góry i rzeki tak samo w nich kochają, jak oni w sobie. Ale gdy szczęście ich znikło, a boleść nie chciała już być dłużej nędznym głazem, który rozgniata ślepym i głupim ciężarem, lecz chytrym i podłym człowiekiem, który co chwila przypominał Rafałowi stratę Heleny jednem słowem: Niema! i położenie, osamotnienie jego, — wtedy te Tatry są dla Rafała tylko zimnym głazem, obojętnym widzem — a te strzeliste turnie stają się ostrzami,

młotami i obuchami siekier, które jedno tylko umieją wywołać: „Niema!“ I napróżno woła Rafał Heleny, zrozpaczony pyta głazów:

„Cóżem wam uczynił? cóżem uczynił? Czemu prześladujecie mię? grozicie mi i mścicie się nademną w straszliwej mojej męczarni?..

...Zmiłujcie się nademną góry skaliste, drzewa czarne i ostre! Zmiłuj się nademną wodo cudowna, wodo straszliwa i ty o niebo... któż was uczynił wspólnikami mojej męczarni w ciągu jednego dnia?“ Ale pytania i prośby rozbijały się o głazy głuche. Tatry stały obojętne, zachowały swą niezmienioną potęgę. Teraz pokazały, że i w nich Zło włada, że silniejsze ono, niż Szczęście, za które trzeba „płacić światu morzem łez“.

Władysława Pankowa w szeregu nowel tatrzańskich p. t. „Kaj ten smrek siwy“ dała obraz ludu podtatrzańskiego — zwięzły pozbawiony wszelkiego fałszywego tonu czy w roztkliwieniu czy w grozie, czy w uśmiechu. Potęgowało je gorące uczucie dla Tatr, dla ludu, z którym się zżyła, odczuła go, a nawet stara się własnym językiem ludu Podhala przemawiać, choć jej się to nie bardzo udało.

St. Witkiewicz w zbiorze nowel „Z Tatr“ wznosi się na wyżyny ludzkości i stamtąd przypatruje się pięknym postaciom ludu z miłością i prawdziwą znajomością gwary.

L. Staff widzi w Tatrach źródło sił, dających pewność wykonania czynu. Nie straszne dlań gromy bezdna przepaści i zęby śmigłych krzesanic. Z namiętnością równą, Nowickiemu, woła o orły i gromy stylem z granitów kowanym:

„Zębatych turnic niebo ryjące grzebienie
Wołają butą szczytów o orły i gromy
Płuca przepaści chłoną powietrzne przestrzenie
Tabun wichrów wypada z oddali łakomy.
Trupy ech potrzaskanych o szczytów przyłbice
Walą się w dół z głazami zmełtemi w piarg miału.
Ach, w szerz rozpostrzeć ręce za skłonów granice
W błyskawicach rozkoszy i piorunach szału“.

Ze swojem bólem przyszedł w Tatry i J. Kasprowicz, nie zostawił go na dolinach, lecz przywlókł się tu ze swą duszą załzawioną, by się skąpać w cudnościach tego świata, ożywić ducha nowymi płomieniami. I kiedy patrzy na mocarną potęgę wichru halnego, od którego powiewu

Od razu kłody o grubości snopów
gną się... jak źdźbła lichej słomy,

to budzi się w nim szał do niszczenia zła i woła bez strachu już:

„Radbym siły swemi
Zmierzyć się z wichrem, jak te wielkie drzewa,
A jeśli dusza jego krucha — to niechby uległa...
A jeśli mocarna, jeśli....

Nieprzełamana wyjdzie z tych zapasów
To razem z wichrem taki szlak zakreśli
Że zetnie na nim smreki swym oddechem
Sił pozbawione...“

Niech więc ginie to, co słabe, marne, nikłe, bo tytaniczne walki zwieść nam trzeba — a z nich tylko silni wyjść mogą i muszą, bo naród, społeczeństwo słabych znosić nie może między sobą!

A gdy tu stoi, na wyżynach i patrzy się stąd na dawne swe bożyszcze, „tłum“, woła:

„Dla olbrzymów te szczyty — dla karłów poziomy
Gardźmy płazem, co nie śmie nawet spojrzeć w tę stronę!
W ten krąg złoty wpatrzeni, w znak sił naszych widomy,
Zakochajmy się w sobie! Wszak jesteśmy, jak blaski
[wcielone“.

Obok szeregu poezyi noszących tytuł z „Wierchów i hal“ napisał jeszcze J. Kasprowicz dramat, w którym przedstawił bohaterski lud Podhala, idący za przewodem Kostki Napierskiego „równać świat“ — walczyć za krzywdy drugich i dla ich dobra:

Wolskiego sonety i ballady tatrzańskie słabe w wykonaniu cechuje głównie pierwiastek opisowy. Tatry przedstawiają się mu raz jak olbrzymie wiedźmiska:

„Co się upiły na Giewontu stypie
I skamieniały, wiodąc dziki tan,

Pod grubą lodu skorupą
I dziś sterczą, jak piekieł mur
Posępny..."

To znów, gdy patrzy na burzliwe męty potoku, co z szałem pędzi wśród gór — zda mu się, że to pędzący w dale po sławę — białogrzywy Światowida koń — bo usłyszał trąbkę polskiego capstrzyku.

W balladzie p. t. „Tytany" — widzi w tych wierchach — leżących olbrzymów-rycerzy — czekających, aż przyjdzie czas i o świcie ducha wieków zagrzmi odzew, pobudkę i ruszą ze snu:

Stare, spleśniałe, spiżowe kościska i wstrząsną się posady Tatr — a głos ich „turzy, straszliwy,

Jak wicher halny, rozegrzmi po świecie
I zbudzi w Polsce wszystko co chce żyć!
Hej! zmiażdżą spiżowe stopy
Co podłe, krecie,
Co woli w błocie upodlenia gnić!...

A śniegiem srebrnym pokryte Tatry — to świat czarodziejskiej baśni kutej w krysztale, to

Nieprzebrane kopalnie dyamentów i ściany
Lśniące srebra szczerego, niełupane wcale
Kilofami dźwięcznymi... to
Świat szronem dzierżgany
Mieniący się tęczowo, w marzenia zapale
W lód i kryształ zakrzepły sen srebrnej Marzanny.

Niema jednak w sonetach Wolskiego prócz pierwiastku opisowego, przypominającego dekoracyą swoją symbolistów, tego ducha władnego, jaki u Nowickiego i innych poetów spotykamy. Za dużo w nich erudycyi książkowej — dużo gadatliwości — a mało Tatr! „Nie może być tam Tatr, gdzie poeta myśli o Malsztromie, Gorgonie, Libanie, o haszyszu, potworach Böcklina o Sezamie Golkondy i pajęczym powiewie Eola!".

Gwiżdż, Orkan, Jedlicz i młodsi z Tatr — stanowią nowe zjawisko w pezyi Podhala. Oni są synami tych gór, tu wyrośli, tu pierś jałowej ziemi karmiła ich dusze — jednak każdy z nich, to osobny typ poety, każdy ma swoje własne rysy, po których go łatwo w plejadzie „szkoły podhalańskiej" poznać można.

Gwiżdż ma w sobie coś z parobczaka, gorącego, namiętnego — Orkan — to „Dumac", jak i Franek Rakoczy z Roztok, Jedlicz — to klasyk tej szkoły, z cechami Ateńczyka, smutnie w widma dawnych półbogów zapatrzonego.

Gwiżdża nęci stara pieśń i opowieść ojców o staroświeckich czasach — patrzy na Tatry od dziecka ze swego słonecznego Odrowąża i choć z niego parobczak „z ciupazeckom w ruce" wesoły, śmiżny, — jednak i jego oko łzą za-

chodzi, bo na świecie źle, nie spełniło się to, co śpiewał „w borze“ przy paszeniu stadka, że ludziom przyniesie:

„Kiedyś kojącą pieśń
I nierozłączne, dobre wieczyste kochanie!...“

i błagalnie patrzy w Tatry, wsłuchuje się w te poszumy błądzące po skalnej pustaci, czy nie usłyszy jakiegoś gromkiego hasła do życia i woła z pieszczotą dziecka, zamiłowaniem serdecznem:

O! góry moje mocne, Tatry czuwające,
O! święte moich braci — zbójników komory!
Cóż mi to szumią waszych wód głębie płaczące?
Cóż mi to szumią w dali drzemiące jawory!
O! Tatry, moje Tatry!

I zapatrzony w te zbójnickie komory śpiewa strasznie dziką pieśń o miłości zbójnika Mateji i kaczmarki urodziwej, którzy spłonęli w namiętnym uścisku w ogniu karczmy; a już przepiękną idyllę o nastroju religijnym śpiewa o Sablikowym graniu, którego całe Tatry słuchają i Najświętsza Panieneczka, która przyszła tu

„Spisywać utrapienia i wszystkie, wszystkie żale...“

Szkoda tylko, że tego czaru, radości, otuchy, zaczerpnął dość mało w duszę, zbyt smutkiem

przygniecioną, chociaż i jemu się marzy wiosna dla ludzkości!

Jedlicz pragnąłby z duszy i serca wyśpiewać *Słoneczną pieśń* o Tatrach. Niestety! Obłąkany, wieczny Prometeida, przykuty do skalnych zwałów, patrzy na świat daleki, którym znikomość żądz i nieruchoma martwota owładła. Chciałby uczyć ludzkość czystości myśli, pragnień, żądz, by gardzili ludzie poziomą rozkoszą spoczynku, jednak — czy sił mu brak, czy ludzkość zbyt oporna — dość, że poeta idzie pod białe, słońcem rozjaśnione chaty, bo tam może w jego duszy barwną rzeszą zjawią się ogromne widzenia dawnych czasów... Niestety! Mimo weselnych skrzypiec grania, słonecznej poświaty pól kwietnych, mimo poszumu jesionów, które nucą, że czarna rola plon wydała złoty:

„I Chrystus z wysokiego uśmiechnął się nieba“,

niemy druh jego, smutek — wchodzi jak pan samotny do jego chaty i trwoga poetę opanowuje, bo nie wie — w jaki kraj smutek duszę jego porwie... A kiedy wspomni „Widma“ starców gazdów, ujarzmionych bólem królów, dziś w jarzmo zakutych, hardych Tantalów, co wieczorną porą gwarzą o dawnych czasach, obsiadłszy ognisko — marzy o wielkim dramacie, by zakląć krzyk, jakim płakać musiał ten lud-spiż, gdy weń piorun zatraty uderzył.

„Zemściło się miasto swem wytartem życiem na synu gór i wlało weń rozpacz, za dalekim, bardzo dalekim słońcem — dało mu posępną myśl, przeczulenie — a praca dała artyzm, w którym doszedł do zupełnej poprawności w wierszowaniu i stylizowaniu tak, że czytając jego poezye, czujemy w nim trochę klasyka i romantyka“ [1]).

Orkan staje przed nami w ubiorze górala i jako dziecko gór i tych pól jałowych, na których „głód się rodzi i owies zieleni“,

„A ludzie zapomnieli dawno wiosen“.

Przemawia do nas w narzeczu wierchów, turni, tych smutnych cieni, co się po tej smutnej ziemi włóczą — a nie jak Jedlicz, który ani na chwilę nie zapomni, że jest poetą — artystą — i językiem miastowym do nas przemawia.

Oba zapomnieli o cudnych Tatrach, Orkan niedawno „przybaczył se“ o świecie czarów, o rycernych postaciach zaśpionych hufów skrzydlatych — i tylko dolę czarną ludu tego malują.

Obrazy Orkana rozpaczliwe, nędza, rodząca w tem piekle Podhalańskiem wszystko zło zawładła całkiem tutaj — i nawet nikt nie myśli o tem,

„Że syn człowieczy, zrodzony w niskości
Na ziemię wschodzi —

[1]) W. Feldman: Piśmiennictwo polskie.

i widzi rodziny, które dzień odchodzi

Przy kłótni, a noc przy bitce spotyka
Widzi, jak córka własną matkę głodzi
A syn rodzica,

za to, że mu się przedwcześnie podpisał z majątku, licząc na dobre serce syna,

zamyka do chlewa

i niemieje z bólu Chrystus i

Duch się Jego rozpływa powoli
W błękitną ciszę pogodnych wieczorów
. . . .
W ten cichy smętek pól, łąk i ugorów
. . . .
By znowu ciałem wrócić na Golgotę.

Jakżeż mogłoby tu zakwitnąć szczęście, jak słonko zaświecić, kiedy minęły już staroświeckie czasy, w których słonko świeciło, chleb się ludziom darzył. Skapany to świat — ziemia niewdzięczna, macocha gminu, nie mająca dla swych dzieci kawałka chleba, bezpłodna prawie, chuda, skalista, czarną tylko troską karmi lud podtatrzański. Jakżeż może być tu lepiej, i jak mógł z piersi wyschłej ziemi skalistej napić się pokarmu lepszego, niż ból, skoro tu „śmierzć głodowa“ czyha na ludzi...

Już od chłopięcych lat idzie pustym ugorem po ciernistej i ostu pełnej drodze — a za nim wleką się wierne stróżki smutku — nędza i roz-

pacz, których próżno chce się pozbyć i płacze jego serce po ugorach za tą ogromną rodziną komorników, bo na tej dolinie łez:

„Jeden tylko słychać wszędzie płacz i zgrzyt
I nocą się rozpościera groźny cień
Po ugorach i po szarych łanach zbóż".

Tu chłop, około smreka orzący,

Ledwie za pługiem wlecze kości!
A musi w skałę owies siać:
I nieraz drzewu pozazdrości,
Że może cicho stać.

To też strasznym jest ten sam chłop, „istna śmierć", gdy „na łany wyszedł z kosą" i zobaczył, że twarda jego praca wydała cztery razy mniejszy plon, niż wysiał,

„Owies mały... liche źdźbła" —

wtedy nie dziw, że

„Prasnął kosą, aże brzękła, rzucił sierp"

i tyle tylko zdołał przez zęby wyszeptać

„Dał ci Pan Bóg marne życie... a ty cierp!.."

a

...do serca pchał się gwałtem czarny lęk
I poleciał niesłyszany, cichy jęk
Po ugorach i po szarych łanach zbóż".

Nie oszczędza nam Orkan ani smutku ni żalu

tej ziemi — przygnębia nas tą masą cierpień cichych, jakich świadkiem ta nieużyta, skalista ziemia, dla serc pragnących chwilki wesela.

Ale on ją mimo to pokochał, zżył się z nią, a za synowskie uczucie pokazała mu Matka — Nędza ziemi tej swe tajemnicze piękności, swe skarby, „dała mu serce harde, umysł bogaty w wielkie idee, dała mu stygmat swych ran bolesnych, po którym go łatwo poznać już między gromadą pieśniarzy. W niej wyrósł na wielkiego poetę, w niej zobaczył, że trzeba wszystko poświęcić dla dobra drugich, dla zwycięstwa pieszczonych idei — jak robi bojownik Podhala z tłumem, Franek Rakoczy z Roztok, parobczak idealny, a jednak pełen krwi i samorodny.

I współczesnej Polski geniusz, co wszelką miłość, wszelkie uczucia, ideały przelał w spiżową pieśń „o Polsce, która będzie“ — St. Wyspiański, pieśń rycerską wyśpiewał o Tatrach — o zaśniętem wojsku husarzy skrzydlatych w rapsodzie o *Bolesławie Śmiałym*.

Tu wśród Tatr — wyklęty król zapomina, że krwi posoką obryzgał ołtarz i sługi mszalne, bo przybył tu do grot pradziada, o którym powieść tajemną szeptano na wieczornicach, by skrzyknąć na niego: „Wstań! Korona pada!“ I wodząc się za tą chmurą orłów, do sławy wrót przyleciał

i przebiegał wszerz skalne wierzchnice
A za mną ostry wiatr ten halny, dując;
Groty przetrząsłem górskie, grot piwnice
Różne domysły z onej klechdy snując:
Na wszystkie Tatrów wdarłem się turnice,
Rycerzy onych śpiących upatrując...
Jako jest długi w łańcuchu szaniec
Nigdzie i nigdzie od krańca po kraniec.

Więc zabolał, że ich tu niema — ale dusza zbolała nasuwała mu kształty gór, jako kształty rycerzy, śpiących posępnie i

Naraz ujrzałem wojsko, jak w błękitach
Słońcem czerwonem oblanem po szczytach.
Konni, w rynsztunkach ciężkich, jak w skorupach
Jak był daleki widok skalnych złomów
W tych zorzach wszyscy, jak na zwalisk kupach
Na górach, niby ruinach zamków, domów olbrzymy...
W ciężarach tarcz i zbroic mchów zielonych,
Dzierżący miecze szczerbione i rdzawe
Przed się godzili w ruchach zamierzonych,
Goniących złudną w wichrach lotną sławę.
. . . .
Tak ich na wieczny sen pojęła skała.

A ponad nimi, nad igłami
Ogniste ptaki w zorzach płyną
Wielkimi skrzydeł zawrotami
Nad tą olbrzymów zbieraniną —
Znów moje orły...
jakby z tym skalnym ludem w zmowach.

Lecz i jego rycerzy i jego samego uwięziła tajemna moc i jemu tu kazała kamienieć — wśród tych krzesanych ścian — i niepomogło

nawoływanie na rycerzy towarzyszy — bo głos tylko odlata w puszcze, a oni ścielą się w błękicie, jak widma, nieruchomi, głazy — niepomogła chęć wyrwania się z tego czaru, bo kiedy miał dobyć miecz,

„tej chwili w lęku zastygłe ogniwo
czuję — przyłbica spada na twarz szczęką
żelazną — i uwięziła go niemoc straszliwa
i tu z pradziadem wojskiem swojem w larwę
zaklęty, kamień, głaz, skałę

został z mieczem

gotowym do cięcia —

i takim zostanie

„Aż go powoła róg do wniebowzięcia".

Król Duch mocarz wdział na się postać martwych głazów, by czekać wyzwolin dnia świętego. Potężna to wizya gór tatrzańskich w czarowną szatę słów granitowych odziana — to przyśpiew najdoskonalszy dla całej poezyi Tatr. To co stworzyła gminna wieść ludu — to po królewsku odtworzył i ubrał Wyspiański i za ten diadem najdroższy w poezyi o Tatrach cześć Mu!

Żaden jednak z poetów polskich nie pogłębił tak duszy górala, nie przypatrzył się z taką bystrością wszystkim jej cechom, żaden nie wspina się z takiem uczuciem serdecznem na turnie, jak K a z i m i e r z T e t m a j e r, który wśród nich „stoi bujny — jak buk", jakoby w turnieju Janosikowym zwycięzca. I hardy

gazda, bogacz w całej dziedzinie okolicznej znany, i chciwy na grosz, głodem ziemi żarty Szczepan bez ziemi, i „pogłuptawy“ artysta rzeźbiarz i rozkochany w staroświeckiej nucie „muzyka“, i komornik i namiętne dziewczyny i oszalały w gniewie parobczak i wspaniały zbój, Jakób Zych czy Smaś — oto galerya typów jego nowel tatrzańskich, pominąwszy cały szereg innych, których widzimy w jego dziełach.

Twórczość Tetmajera ze „Skalnego Podhala“ poczęła się, tu się kształtowała, bogaciła w siłę i strojne barwy i tu stanęła na wyżynach swoich. On całą swoją duszą — podobnie jak St. Witkiewicz — w Tatrach utopił, cały się rozmiłował w tym bogatym pod względem duchowym ludzie, tu rozpłynął się cały ze swą rozkoszą, bólem i rozterką, tu też wyzbył się niesamowitych dlań westchnień bezcelowych do Nirwany. Ani jeden z poetów skalnych wierchów nie wyśpiewał tak cudnie, jak on, — pieśni o *Skalnem Podhalu*, tak wzorzystym językiem, jaki tylko u Słowackiego widzimy; ani jeden nie odznaczył się tak mistrzowskim w obrazowaniu cudów przyrody jej świata baśniowego, subtelnym znawcą duszy górala wraz z jej drgnieniami żywiołowemi, subtelnymi odcieniami uczucia. Daleki on od sentymentalizmów romantycznych, od patosu klasyków; on nie idealizuje tego ludu — lecz przedstawia go takim,

jakim go widzi, w swej fantazyi, względnie, jakim on zdaje się był drzewiej, a jakiego typy coraz to rzadziej dziś widzieć można. Sam Sabała mówił przed swoją śmiercią: „Za pięćdziesiąt roków to gazde zakopiańskiego bedom w Muzeumie przedstawiać i pokazować jak cudoka“. Więc też Tetmajer z obawy może, by ci gazdowie staroświeccy nie zniknęli na zawsze z oczu — wskrzesił ich, ożywił — dał im nieśmiertelność. I naprawdę — niema dziś już Zychów, Smasiów takich, Szeligów, Pudrasów, Maćków, Kubów, Maryś, za któremi oszaleć przyjdzie, bo cywilizacya przyniosła ze sobą prócz problematycznego dobra, większą ilość Zła — i zamarł czy zamiera szybkiem tempem świat dawny, dawny gazda zakopiański, Podhalaniec dawny, pełen szczerości i prostoty obyczajów i duszy. To więc jest zasługą Tetmajera, że odtworzył, blaskiem nieprzeżytym oświecił ten świat tatrzański.

Nie odrazu jednak natrafił na swą drogę — szukał jej w powieści, dramacie i w gonitwie za miłością i szczęściem i w Nirwanie — ale „przybaczył se“, że nad kolebką jego szumiał wiatr od hal, że jako górala

deszczyk go wykąpał,
wykołysał wiater.

i poszedł do swych rodzinnych Tatr, za Go-

szczyńskim — jak sam mówi — dał się porwać ich powabom, zalubił się „do cna“ w boginkach ciemnych lasów pod reglami szumiących, dał się olśnić i „urzec“ tym oczom stawów tatrzańskich, temu czarowi hali, tej ciszy nieogarnionej wśród pustaci skalnych i wyśpiewał najcudniejszy poemat o Tatrach, czy to w drobnych wierszach, czy w rapsodzie przecudnym, pełnym mocarnej, bujnej siły o Janosiku, czy też wreszcie w szeregu nowel: *Na Skalnem Podhalu*. Sięgnął nawet w odległe czasy pamięcią, odtwarzając postać gazdów z w. XVII, otaczających Kostkę Napierskiego w powieści p. t.: *Maryna z Hrubego*.

Obok wielkiego talentu przedstawienia rzeczy, epickiego i plastycznego, wzorzystego jak u Słowackiego języka w poezyach lotnej fantazyi i bogatej — ogromnej znajomości „Psychy“ Podhala, serdecznego ukochania przyrody i ludu tatrzańskiego — widzimy w nim samowładnego, niezrównanego mocarza języka, gwary Podhalan, jakiego drugiego niema w naszej literaturze!

To wśród poetów Podhala — Excelsior! — O nim by C. Norwid powiedział: „Ecce poeta!“ „Oto król pieśniarzy Podhala!“.

Obok pereł humoru jak, o *Franku Szelidze; Jak Smaś się pojechał wysłuchać; Jak baba djabła wyonacyła* — mamy tu i wykolejonych marzycieli jak Wojtka Cudoka i sławnych zbó-

jów jak Zych, i tęskniącego za rodzinną ziemią Jędrzka Mahajcoka, który za Ocean się puścił i Szczepana bez ziemi, cierpiącego nie dający się niczem zaspokoić głód ziemi, a wreszcie przecudną pieśń o Zwyrtałowi Muzyce, co sie pisał Marduła Maciek, a wołali nań Zwyrtała, a nazywało się do nich „do Sęcków“ — który mało co, że wszystkich świętych w niebie nie porobił Podhalańcami, bo ledwo zaczął grać w niebie zbójnickie nuty, to go sam Bóg do siebie zawołał i mile słuchał muzyki góralskiej, a święci już dość zdatnie umieli „piosnecki“ góralskie śpiewać.

Franek Seliga, hawiarz, co rude kopał, opowiadał o sobie zawsze: „Jo jest ze ślakty“ — bo taki piękny był, „co jak wsią szedł, to aż babami wstrząsało“. Zakochał się też w Anielci „ale nie od Wietrznego Kuby, ani Mostowego, ani Staseckuli — ale w Anielci Walewskiej“, córce rachmistrza dóbr Kuźnic. Ostrzegali go rówieśnicy, że nie będzie z jego zalotów nic — ale poufały Franek mawiał: „Zalubiła mie, poziera ku mnie“; nie chciał nawet pamiętać o tem, „że i liska na grule poziero a nie bedzie ik jadła“. Anielcia wyszła za krawca w Sączu, a Franek Seliga w rozpacz popadł, z P. Bogiem się poróżnił i „na despet“ mu zrobić postanowił.

Prosił go Franek serdecznie nie raz i nie dwa: „Panie Boze, odmień serce w panu Wa-

lewskim, a jo Ci dom telo śrybła do kościoła, kielo do obu gorzci nabierem. Skąd bedzie to bedzie — cy ze ziemie, cy z Luptowa cy z kase to ukradnem, to sie Ty juz o to nie staroj. Nie Twoja głowa w tem — ale moja. Tyś ta wsechmogący, to w ocymieniu sprawić mozes, kiebyś ino chciał — ale nie śpasuj, bo se mnom śpasów nie ma"; — odgrażał się już poraz drugi w modlitwie — i trzeci — ale Bóg nie wysłuchał pięknego Franka. Więc przyszedł Franek czwarty raz ku kaplicy, zdejmuje kapelusz, ale już nie klęka i mówi: „Panie Boze! Coześ tak na uwziętego se mnom? Nie bedem Cie pytał więcyl, bo widzem darmo, a i wadził sie z Tobom nie bedem, boś na niebie wysoko, a jo nie oreł. Ale ci nic nie okfiarujem a jesce ci na despet zrobiem, kieś taki nieusłuchany, kie na uwziętego między nami, to ja ta tys cosi kajsi worcem!"

Ułożył kopczyk z kamieni, wyspinał się, podważył ciupagą daszek i strącił go z kapliczki na ziemię! — *Smaś* kościoła nigdy nie widział w życiu, chyba wtedy, kiedy go do chrztu nieśli; — zbójował tylko a bawił się w karczmach i pomagał biedakom, jak mógł. Ale sie wiedło i przewiedło — bo Smaś zachorzał i nie pomagało ani niedźwiedzie sadło ani świstacze — trzeba było umierać. Więc zeszły się baby sąsiadki, siadły koło łóżka i nuż jajczeć, a biad-

kać, namawiały starego zbója, by sie wyspowiadał w Ludźmierzu, gdzie cudowna Matka Boska — choć Smaś mówił, „ze i w Odrowązie dobrzeby się było wyspowiadać, bo tam też jest M. Boska“ — ale go zaraz przekonały baby:

„Hej! moi mili! Ona ku ludźmirskiej ani za kuharecke nie worce! Jedźcie tes swoku jedźcie! Pół was ubyło! Skapiecie!“

Usłuchał Smaś. Pojechał, ale jak wystrojony! Włosy masłem wysmarowane, obleczenie czyste, kapelusz nowy, czuha nowa, serdak nowy. portki, kyrpce jak na wesele. A do tego pistolety za pasem, noże dwa zbójeckie, w garści ciupaga, a przez ramię flinta. A kiedy baby zgorszone tem wołały:

— „Zej djabłów zjadło swoku! Dy to przecie nie na kozy! Ani nie w Luptów na dudki!“

Smaś odpowiada:

— „Nigdyjek jo nie seł inacej ku niwtoremu panu dziedzicowi, derektorowi, kaserowi, kupcowi, abo co fciało, niek było! A dy przecie padacie Pan Bóg nowięksy ze syćkik, niekze mu nie ublizem, ze telo ku mnie nie płaci, co hojwtóry dziedzic, abo i gazda, abo i zyd psia para, cok ku nim we zbroi seł“.

A wziął ze sobą i muzykę, by kiedy mu Pan Bóg zagrzmi „pierunem“, dać mu „odbrzęceć basami“.

I pojechał do Ludźmierza, do kościoła, Smaś, u którego dotąd „kościołem był Gierlak“ a zwonica Lodowe“. A jak się spowiadał szczerze:

„Kraść-ek krod, alejek wse hudobnym doł z rabunku... Anik ta nigda we swojej stronie nie zbijał, ba ka inyndyj, po Węgrak. Bićek bił, alek sie nigdy na słabsego nie zruwoł. ...Dźwirzęciu jo nie wyrządzoł nigda, nie okalicyłek go, heba na polowacce, ale to myśliwskie prawo. Nie pokłamołek nikogo, nie zdradziłek nikogo, wsejek wierności dotrzimował... Nigdyjek towarzisów cy przi dzielbie po rabunku, cy przi świstokak nie ukrzywdził... Pić ek pił, ale to skody z tego nikomu nijakiej nie było, ba jesce kacmorz zarobił. Zabić człowieka, to jek zabił, ale przez potrzeby nie, ba końcem trza było zabić, bo sie to do bitki brało, a tu sami wiecie dobrze, zbójnik nimo wiele casu przi rabunku... Telo na mnie tyk grzychów; mało nie duzo“.

Zbójnickie życie honorne było — ale trzeba było być chłopem, by mu podoleć, nie dziadem. Biedny Szczepan Głombik sił nie miał, bo głód dokuczał — więc na zbój nie poszedł; — jemu nie swoboda w halach pachnęła — ale uczuwał w sobie nieprzeparty, nienasycony głód ziemi.

Daleki jego krewny też Głombik, Kuba, bogacz — miał ziemi, co cud — i nieraz Szczepan

wychodził na brzyzek i łakomo spozierał na te bogactwa Kubowe, ale i z miłością niewysłowioną. I nieraz kiedy aż jęczał z żalu, iż jest: „Scepon przez ziemie“ rozmyśliwał:

„Dałbyś za ziemie babe? — Dałbyk.

Dałbyś za ziemie dzieci? — Dałbyk.

Dałbyś za ziemie duse? — Nie śmiał już odpowiedzieć. A Jakób w tej ziemi owiniony, jak chore prosie do kożucha, jak pstrąg we wodzie, tak się Jakób mógł nurzać w swojej ziemi — i Szczepan głaskał z lubością dłońmi tę ziemię, na której siedział i myślał:

— Jo kiebyk Pane Boge był — tobyk nie w niebie, ba na ziemi bywał. Hawbyk se miał królestwo swoje. Za pługe byk chodzieł, świenci by mi poganiać musieli; Je cozbyk hań lepsego w tym niebie nalaz? Siałbyk, orał, skródlił — kosił, do stodoły wióz — młócił — gazdowałbyk se ino. — Nie pytałbyk, coby mi janiołowie wse za usami brzęceli, przyśpiewowali — ba coby se mnom w polu robili, jak parobcy, bo na telo siły majom. Sopy byk se postawił tele zwyść jak Tatry, pierun by mi ziem pokładał; a halny wiater by mi do stodoły nosieł. A powodziom byk se po młakak potraw zbierał.

Hej! Kiebyk miał tyn ziem, choć stajanie, choć pół, choć ćwierć, choć telo, cobyś kapelusę przikrył! A tu nic a nic! Dziadeś i telo!...

Taki to głód ziemi czuł Szczepan, taki czuje każdy góral, choć ta ziemia chuda, jałowa, skalista, nieurodzajna, a robić na niej trzeba za konia — jak mówią górale.

Ale serdeczną już pieśń wyśpiewał i pochwalną dla Tatr, dla tych skał, tych potoków pienistych, tych śniegów dla tej ziemi, na której owies się tylko zieleni ubrany ostu kwieciem — w ostatniej nowelce, zamykającej epos Podhala, w powiastce o *Zwyrtwałowi — Muzyce*:

Włożył w tę opowieść całe serce gorące, by módz wyśpiewać taką cudną pieśń, której Anieli z lubością słuchają, a sam Bóg boi się, by się też niebianie w Podhalańców nie zmienili! Wspaniała to apoteoza Podhala, w którym Zwyrtałom po śmierci tak samo dobrze, jak w niebie!

Tak czuć, myśleć, mówić może tylko ten, kto tak jak Tetmajer ukochał nadewszystko Tatry i lud podtatrzański!

Ale nie w tem tylko jego wielkość. On jest mocarzem samowładnym duszy Podhala, jego języka, jego piękności, smutku i wesela. „Rozporządza on zasobami wielkości geniuszu. Potężną jest jego zdolność obrazowania umiejąca na „królewskim jeziorze“ rzucać bryły na bryły i ciosać kolosy z granitów „Bogu z nieba schody“ lotna, eteryczna jego fantazya, umiejąca oddać ten świat niczem niezamąconej ciszy nocnej

w mgły spowitej — a przebogata jego królewska lutnia, na której wyśpiewał całą duszę, piękność Tatr, moc i ból „Skalnego Podhala".

I wszyscy prawie poeci doby obecnej czerpią w Tatrach siłą i moc dla siebie, widzą w nich czy swobody ołtarze, czy czarów świat działający swem pięknem na wszystkich, czy rycerzy mających zwieść zwycięzki bój za wolną Ojczyznę. A obok poetów — ciągnie się szereg malarzy, rzeźbiarzy, wśród których są i swojacy, Podhalańcy, jak Bulas i Brzega, dalej kroczą etnografowie skrzętnie spisujący pieśni, podania, zwyczaje — budzi się do życia coraz potężniej gwara Podhalan, tężeje narodowy duch ludu tego. Zdaje się, że żaden zakątek Polski nie ma tylu badaczy, ludzi chętnych ludowi, co Podhale i zaczyna się urzeczywistniać hasło: „przez lud do narodu, przez naród do człowieczeństwa..."

I.

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

SOBÓTKA.

Z POWIEŚCI P. N. „KOŚCIELISKO"

Pół słońca pała na nieba sklepieniu
A pół zagasło w polskich puszcz błękicie.
Czerwony wieczór na smreków cieniu
Po wzniosłej Wyżni osuwa się szczycie.
Z niebios podhalskich uchodzi ulewa,
Jak nieprzyjazne wojsko z pól pogromu,
Sztandarem tęczy od Pienin powiewa
I coraz bledziej wypuści strzał gromu.
Podhalska ziemia zdyszana po burzy,
Kiedy niekiedy grzmotem z głębi runie,
Kiedy niekiedy z lasów mgłą zakurzy
I, jak westchnienie, po górach się sunie.
Na wszystkie strony uciekają chmurki
Łódkami wiatru, przez lasy i wzgórki;
Milczkiem wypełzną, przemykają rączo
I z wodzem — burzą na wschodzie się łączą.
Wolnieje potok, co przed chwilą szalał
Las rzęsno płacze kroplami dżdżowemi,
A cały przestwór od nieba do ziemi,
Jasny, jak żebyś kryształem go nalał.

. . . .

O JANOSIKU, HETMANIE ZBÓJNICKIM.

Janoszu! dzielny góralu!
Skąd ty wziął się na Podhalu
Taki rosły, taki wdzięczny,
Taki silny, taki zręczny?

Ty wysoki, jak Łomnica,
Jak lawina, twa prawica,
Jako Tatry, twoje barki,
Jak lot gwiazdy, bieg twój szparki

Zatrzymasz orła w obłoku,
Gdy mu utkwisz oko w oku;
Ty obejmiesz ten buk w borze,
Co go objąć trzech nie może.

Janoszu, dzielny góralu!
Skąd ty wziął się na Podhalu?
Nie kobieta, ale skała
Zrodzić nam ciebie musiała.

A dziś dnie jego życiem zbójców płyną
Lód i przepaście jego dziś dziedziną
Po ciemnych jamach z puhaczami mieszka.
Trop dzikiej kozy zwykła mu dziś ścieżka.

Co o nim prawią w głowie się nie mieści,
Jak o straszydle, krążą o nim wieści;
Tutaj ze mgłami spada na doliny,
Tu duchem zbiega nietknięte wyżyny,
Tutaj od strzelców odważnych naparty,
Znika w strzelinie tak wązko rozdartej,
Że się zaledwo gadzina prześliźnie.
Z wierzchów, gdzie kamień na proch się roz-
[pryśnie,
On żywo zleci jakby skrzydłem ptaka
Albo, jak kozioł, huśta się u krzaka.
Głos ludu twierdzi, że kochanka jego,
Którą, jak stracił, nikt wiedzieć nie może,
Przeobrażona w ducha niedobrego,
Tajemnie nad nim czuwa w każdej porze.
Bo trudno wierzyć, ażeby tak młody
Przebył bez duchów tak wielkie przygody
I jedno imię wdział, jak nawałnicę,
Grzmiącą i ciemną, na całą ziemicę.

. . . .
. . . .

PALENIE SOBÓTKI.

Zachód mdlej coraz śniegi hal pozłaca,
Ostatni odblask z cichych wód ucieka,
Spada na ziemię wieczoru powieka;

Ale na wyżni rośnie gwar i praca,
Pnie się ku górze święty stos wspaniały.
Dwanaście jodeł, z gałęzi odartych,
Zetkniętych wierzchem, spodem rozpostartych,
Szpiczastą wieżą ku niebu powstały.
We wnętrzu jego jeży się chróst suchy;
Czterech górali głownię rozżarzyli,
Rozkołysali, chróstem upowili,
Podęli razem silnemi podmuchy.
Grają płomyki jak żądła wężowe,
Wyjrzą co chwila z ogniska paszczęki;
Nagle rozjadły ogień wznosi głowę,
Rzuca się błyskiem na sterczące sęki,
Na niższych zrazu czepia swe sztandary
Oblata kłody, wyziera przez szpary,
A jad pod korę zapuszcza tymczasem!
Aż gdy zranione drzewa zapiszczały
I w jasnych gwiazdach smolną krew polały,
Ogień wzdłuż stosu posunął z hałasem,
Chwyta się szczytu, siada na stolicy,
Wyrzuca w niebo płomieniste wstęgi
I już panuje całej okolicy.

Radosna wrzawa i huczne oklaski
Przyjęły zewsząd pierwsze ognia blaski.
Na bór, daleko, spada ćmów zasłona;
Młodzież góralska, od płomieni prędsza,
Stoi już, w koła tańczące spleciona,
Jak obraz, z cieni urodzony wnętrza.

Dziewice w kwiatach, chłopcy z długim włosem,
Gęśle i kobzy, fujarki i dudki,
Wszystko to naraz uderzyło głosem
I grzmotnym krokiem do tańca Sobótki.

. . . .

. . . .

Szerzej i jaśniej płaszcz ognia monarszy
Przejrzyste poły wokoło rozkłada.
W osobnym tłumie zebrali się starce;
Głos ich poważny, roztropna biesiada,
A oczy żywsze przy brzęczącej czarce.
Z niemi matrony i dzieci zasiadły
I czujne kundle przy nich się układły.
Dokoła stosu mniejsze ognie świecą,
A każdy nową uciechę rozpala,
A każdy głośną opasany zgrają.
Półwidne kształty za kształtami lecą
To ćmą, to blaskiem, jak płynąca fala.
Plączą się koła, ogniska mrugają,
Połyska w ogniu topór tanecznika,
I zręczny skoczek ogniem się przemyka.

. . . .

. . . .

POWIEŚĆ O DZIWOŻONACH.

Strzeżcie się, o, matki!
Tulcie wasze dziatki

Pod okienkiem mara
O zdobycz się stara.
Czapeczka czerwona,
Kosa rozpuszczona —
Ach! to dziwożona.

Jako śmierć złośliwa,
A jak wiatr, pierzchliwa,
Podsunie się skrycie,
Ukradnie wam dziecię
I zniknie zdradziecko.
O, matko! strzeż dziecko
Czyha dziwożona.

Góralko nadobna!
Nie biegaj zosobna
W zarosłej ustroni,
Strach stracha tam goni.
Czapeczka czerwona,
Kosa rozpuszczona —
Ach! to dziwożona!

Jako śmierć złośliwa,
A jak wiatr, pierzchliwa,
Pochwyci cię w lesie,
Pod ziemię zaniesie;
Bez Tatrów, bez słońca,
Zostaniesz do końca,
Jako dziwożona.

Niebogo! sieroto!
Włosy ci rozplotą,
Czapeczkę nasadzą,
Słodyczkę jeść dadzą;
Dla twego serduszka,
Za drużkę, za drużka
Będą dziwożony.

Dziewczę, biada tobie!
Ty przed śmiercią w grobie.
Tańczą z tobą mary,
Twe hale, pieczary.
Jak Krywań wysoki,
Tak twój świat głęboki,
Skoroś dziwożoną.
. . . .
. . . .

Szczęśliwe oczy, szczęśliwe kroki,
Co świat dziwożon nawidzieć mogą;
Alabastrowe wszystkie opoki,
Najdroższy kamień leży pod nogą.

Wszystkie tam wody płyną kryształem,
Każda kropelka spada perełką;
Mosty ze złota w państwie ich całem,
A z dyjamentu każde światełko.

Wielkie pod niebo, są nasze skały;
Perłami rosy toczą się nasze,
Nasze potoki, jako kryształy;
A jak noc, świeże bory i pasze.

Bo u dziwożon nasz się kraj kłuje;
Bo u nich każdy zdrój się poczyna,
Bo je wypieszcza, bo im wartuje
Dzika podziemna, lecz hal rodzina.

. . . .

DOLINA KOŚCIELISKA.

Rozkoszna, jedyna
Pochmurna dolina,
Dla całych Tatr ponęta;
Lecz lasy i skały
W krąg ją opasały
I bramą z głazów zamknięta.

Rozkoszna, jedyna
Pochmurna dolina,
Od cudnych Tatrów kochana;
Lecz na niej mgły gęste
I deszcze w niej częste
Dolina często spłakana.

Bo w skalnej siedzibie,
W Dunajcu kolebie,
Panuje straszny duch potwór.
Zgrzybiały zazdrośnik
Dunajca miłośnik
Wciąż patrzy za nim przez otwór.

Poczwara złośliwa
Szaleje do dziwa,
Jak tylko weźmiesz mu wody.
Za krople stąd biedną
Piekielne bezedno
Potopem wre niepogody.

Siedziba szatana
Skarbami zapchana;
W niej srebro, złoto, jak śmiecie.
Nie złota duch patrzy,
Od złota skarb rzadszy
Tam leży — wieczne tam życie.

Kto dosyć wytrwały
Aż w głębie pójść skały
I na strach mocną ma głowę,
Ten za swoją dzielność
Ma tam nieśmiertelność
I bierze skarbów połowę.

Lecz ducha złość wściekła
Zatrzęsie dnem piekła,
Jak tylko drzesz się pod skałę;
Opada ulewa,
Wiatr lasy wyrywa,
Głaz pęka, Tatry drżą całe.
. . . .
. . . .

POWIEŚĆ O MNICHU.

Gaśnie zachód na obłokach,
Gwiazdy łamią się w potokach,
Kwiaty zroszone do snu opadły,
Lasy ściemniałe dumać zasiadły;
Drzemie ziemia cicha,
Nic nie uśpi mnicha.

Przez sen mówią śpiące góry,
Lśni księżycem głaz ponury.
Próchno się ogniem umarłym błyszczy,
Sowy hukają, nietoperz piszczy;
Ślepa ćma się snuje,
Wszystko mnicha czuje.

Mnich posuwa lotem kozy
Po przepaściach, przez wąwozy:

Na sam szczyt drzewa śmignie wiewiórka,
Krzaki najgęstsze przemknie jaszczurka,
Z głazu mchem wyśliźnie,
Z wód łososiem bryźnie.

Na wyżynie, na głębinie,
W wąskiej, jak włos, rozpadlinie,
W promyku rosy, w fijołka woni
Wytryśnie widmo, wiatrem pogoni;
Gdzie nie pomyśl, zajdzie —
Gdzie się nie skryj, znajdzie.

Nie pamięta żaden żywy,
Kiedy wszczęły się te dziwy.
Kiedy się skończą, któż zgadnąć może?
Potłum to licho, prosimy, Boże!
Mocą krzyża swego
Zasłoń nas od niego.

. . . .
. . . .

Z FRAGMENTÓW ZACZĘTYCH PIEŚNI Z „KOŚCIELISKA".

Niemasz jak są nasze Tatry,
Niema nad naszych górali:
Nogi polotne, jak wiatry,
Ciała twarde jak ze stali.

Naszych górali omijaj zostrożna,
Z naszych góralek wodęby pić można;
Piersi bielutkie, jak śniegi Krywana,
A kibić piękna, jak pręt kosodrzewu.

MNICH.

. . . .
Kto jestem, to mnie dzisiaj tajemnicą...
Mój zakon dziwny, mój klasztor wspaniały!
Jam jest — i wskazał na tatrzańskie skały.
Kiedy się podniósł nie pamięta ziemia,
W wielkim ołtarzu orzeł się rozplenia,
Po jego gzymsach kozioł rogi czepia,
Kiedy dzień zniknie, to go noc zasklepia,
Kiedy noc widna, to on oświetlony:
Ogromna lampa, świateł miliony.
Kiedy noc zniknie, wszystkie świece gasną,
Za to ogromne, a jedno je zmienia,
Jedno, ogromne i bardzo z niem jasno.
Dziwne, nabożne usłyszysz tam pienia:
Po rozpadlinach, szczytach i załomach,
Jak wieczne chóry, wieczny wicher śpiewa,
Jak na organach, gra obłok na gromach,
Niebieską wodą pokrapia ulewa.
A ja, okryty wieczną tajemnicą,
Ubrany w habit, z tą ot księgą duszą
Siedzę nad ciemną moją kropielnicą,

Gram z piorunami, śpiewam sobie z burzą,
Widzę świat z góry i śmieję się z cicha
Gdy mówią: patrzcie na skalnego mnicha!
Bo ja zakonnic jestem kapelanem.

TATRY.

Ziemia, księżyca światłem osrebrzona,
Leżała nago pod niebios błękitem,
Jakby miłosnym ogniem rozpalona
I nie taiła wdzięków swego łona.
A święte Tatry, jako nocy gmachy,
Nieporuszone czerniały w błękitach
I srebrne wody, jako srebrne blachy,
Snuły się w krętych, świecących korytach.
. . . .
Co to za góra, co stoi osobno?
To garb... Widzę jak się zgina;
Całych on wieków ciężar dźwigać musi,
Każdy rok nowy lodem go przydusi.
Czasem się wstrząśnie; aż runie lawina,
Czasem spotnieje biedak spracowany,
A wtedy staną tak gęste tumany,
Że orzeł w miejscu, jak leciał, tak stoi,
Że kozieł kroku posunąć się boi,
Ale zuchwalec człowieczego rodu
Ginie z długiego i zimna i głodu.

— A tenże dalszy i równy pierwszemu,
Co to jak schody prowadzą ku niemu?
— To . . . . . a to jego palce.
W wiecznej z chmurami zostaje on walce;
Niech tylko która przybliży tam łono,
Olbrzymie palce natychmiast w niej toną
I bez litości szarpią je i porą.
Aż krew dżdżu wyżmą, by członki olbrzymie
Góry nasycić, a zmarła na poły,
Omdlała chmura opada w rozdoły,
Lub jak martwica rozlewa się w dymie.

. . . .

A tej nazwisko, patrz ku zachodowi,
Co tak rozparta i na wierzchu chmury?
Przeklęta Baba! [1]) nad wszystkie złośnica,
Matka niepogód.
Chciałaby rządzić okolicą całą,
Choć jedna z mniejszych. Biada tej krainie!
Skoro się w czepek z obłoku owinie,
Będzie płacz złości, co grozi nawałą.

. . . .

Tam na południe, tam, gdzie księżyc blady
Te srebrne blaski rozpostarł tak cudnie
Po nagich turniach — masz Giewontu ścianę,
Z obu stron spodem biegą na południe
Piękne doliny, mało komu znane.
Tam w cieniu borów, pośród opok żłobu

---

[1]) Babia Góra.

Płyną Dunajec i Czarny i biały;
Czarny tam z dalszej, masz tu łoże obu;
Droga w doliny ponad obydwoma,
Nad Czarnym lepsza i lepiej wiadoma.
Druga bliższa, gorsza
Lecz kto się skrada, dla tego jedyna;
Jest tu już węższa, już szersza dolina,
Przez Dunajcowe przerznięta koryto.
Mieszkań szałasów ciągle jak nabito,
A z lewej, z prawej, jak cieśnina duża,
Zarosłe bory i ogromne wzgórza.

II.

WINCENTY POL.

Z PODRÓŻY.

III.

Woda płynie,
Wiatr wieje
Człowiek ginie
Ale dzieje
Powieść sieje,
A pieśń leje.

Ha! ha! pocieszne i pytanie Wasze!
Skąd się w tych górach wzięło plemie nasze?
Czemuż to człeku nie pytacie o to:
Skąd się w tych Tatrach bierze polskie złoto?

Od wieków wieka, jak lasy i hale,
Osiedli wszystkie te działy górale;
Lecz jako każdy dziś wam jeszcze powie,
A naszym ojcom mawiali ojcowie,
Drzewiej tu u nas inaczej bywało —
Gdzie dziś doliny tam jezioro stało —
Po „Górzec“ tylko zbierała miód pszczoła —
A Tatry Dunaj oblewał dokoła.
Gdzie dziś Orawa i Dunajec płynie
Morska się ryba pławiła w głębinie —
I tak to było — Aż lud uweselić

I między ojców polany podzielić
Ściągnął król w góry ze stolicy swojej
I stanął w „Gorcu", gdzie „Święty krzyż" stoi.
A był to mocarz potężny i dobry,
Dziad wszystkich królów — zwan Bolesław
[Chrobry.
Stanął na Gorcu i spojrzał wokoło
I zdjął koronę i przegarnął czoło,
Tak to się zdziwił i ludem i światem;
Więc ziemię świętą okrył swym szkarłatem,
I po bożemu lud pozdrowił wzajem,
I spojrzał w niebo i potoczył krajem,
I patrzy w Tatry — Tatry za Dunajem —
Patrzy na Dunaj — a Dunaj szeroki
Patrzy na naród — a naród wysoki
Patrzy na bydło — a bydło dorodne —
Patrzy na góry — a góry swobodne —
Patrzy — i zważa to sobie jedynie
Że już za ciasno ludziom i żywinie;
Więc się sfrasował, bo chciał lud swój zbawić;
Otóż, gdzie stanął, kazał krzyż postawić,
Ukląkł i westchnął serdecznie do Boga:

„I w Tatrach będzie miód zbierała pszczoła!
„Dobędę złota — złoto dla kościoła
„Dobędę stali — stal zda się na wroga".

A potem skinął kędy wodom droga:

„Płynno Dunaju, zbież mi tylko skoro,
„Mojej ja ryby napuszczę w jezioro".

A potem krzyknął na swoje narody:

„Złamać te skały i spuścić te wody“

Lecz lud stał niemo, choć rozkaz był dany,
Bo nie był naród na posłuch złamany,
A jak tu łamać skały co Bóg stworzył?
I spuszczać Dunaj nieprzejrzany okiem?
Więc do czakana sam król się przyłożył:
Ciął! przeciął skałę — a łomem szerokim
Zbiegły te wody aż po Tatrów krajec,
I opadł Dunaj — a został „Dunajec“.

IV.

Człek o sobie prawi,
I swemu pokoleniu
A Boga w milczeniu,
Świat sławi.

Odwiecznych Tatrów strażnice Piastowe!
Zdawnaście znane, a wiecznieście nowe!
Choć myśl i oko przy was się upaja,
Myśl i źrenica wiecznie tutaj gością!
Z wami przenigdy myśl się nie oswaja,
Jak nie oswoi się nigdy z wiecznością;
Bo nie wziąć myślą co oko zakreśli,
Ani wziąć okiem co ogarną myśli,
Ani was ująć, ni duchem wyświecić,

Ni w was się wcielić, ni nad was wylecić;
Tu hardość ducha mierzy się z naturą
I rozegrana — bo nikomu górą...

I gdyby nie lud, co dumne te czoła
I te przepaści oplątał ścieżkami,
I prostym zmysłem zaludnił dokoła
Ten świat w obłokach swojemi gadkami;
Gdyby nie powieść, co swemi uśmiechy
Rozjaśnia wasze ponure milczenie,
Widok ogromu byłby bez pociechy,
Bo duch pojmuje tylko ducha tchnienie...
A wy strażnice śniegami świecące
Stoicie wiecznie niemo i surowo,
I dla tych ludzkich pokoleń milczące,
Odkąd w was Boże skamieniało słowo!

XVI.

Hej wesoło i bogato,
Po przednowku idzie lato,
A niedziela i bez chmiela
Lud poczciwy rozwesela.

Tańczą góralczyki,
Chłopaki jak smyki,
Kobzarz im przygrywa,
A dzieweczka śpiewa.

Po gospodzie krzyki!
Szumią góralczyki,
Toporeczek furczy,
A bas w kącie burczy.

W koło, w koło, w koło
Raźno i wesoło!
Drużba przodem skacze:
„A od ucha gracze!“.

A hulajże Grzela!
Bo to dziś niedziela —
A dalejże w kółko,
Na święte niedziułko!

XX.

„Mam i serce — mam i oko
I po światu mi szeroko!“

Hej turnie moje! Wy hale moje!
Jakież was cudne wychwalą słowa?
Widno z was, widno, widno na dwoje,
Bo i do Spiżu i do Krakowa —
Kiedy nad Spiżem *Węgierka* świeci
Orły się nasze w chmurach weselą,
A kiedy mgły się nad *Babią* ścielą,
To nawet orzeł na gniazdo leci.

I tylko góral, co się nie boi
Burzy na niebie, niby Łomnica,
Chłop jak toczony, prosty jak świeca,
On jeden tylko burzy dostoi!
A pod nim szumią dokoła wody,
I biją gromy i deszcze chłodne,
Lecz zanim zbiorą na Lachach brody,
Już nad Tatrami niebo pogodne;
I znów po halach gwiżdżą juhasy
I wyrządzają dziewczętom psoty,
I grają kobzy i szumią lasy,
A hen podźwiga Dunaju młoty...
Gdy się przed człekiem świat ten rozłoży
I tak wesoło i tak szeroko,
Aż serce skacze, że ten Bóg tworzy
I góry takie i w głowie oko!
Kiedy toporkiem człowiek wywinie,
To się aż stracha, żeby nie zmącił
Jasnej chmureczki w orlej dziedzinie,
Albo o samo niebo nie trącił!
Bo odrobina tylko do nieba,
Gdzie z aniołami sam Pan Bóg mieszka —
To juźciż Lachy do was zejść trzeba,
Bo wam za ostra góralska ścieżka!
Niech się wam wszystko po myśli wodzi!
Niechaj wam dziatwa i chleb się rodzi!
Bom to ja nigdy chleba nie prosił,
Kiedym na Lachach bywało kosił.

Choć u nas niema żytniego chleba,
Przecież czem można pogodzić trzeba;
I ufam sobie, żeby nie pościł
Lach — chociaż tutaj ziemia jałowa,
A kto ma rolę, niech Bóg zachowa
Żeby też chleba komu zazdrościł!
Czasem się do nas zbłąka panisko;
Czasem i kilka — toć z nimi chodzim
I do Morskiego-Oka ich wodzim,
Do Zakopanej i w Kościelisko —
A gdy ich wiedziem za kozią drogą,
Kędy na górach Bóg chmury złożył,
Tam to wydziwić już się nie mogą
Jaki góralom Pan Bóg świat stworzył!
Boć srebro, złoto, jest w górach naszych,
I na świat widno z halów dokoła,
Tylko nam w Tatrach tych dzwonów Laszych
I Panny Maryi brakło kościoła —
. . . .
. . . .

XXII.

„Bez radości powitanie,
A bez żalu pożegnanie!"

Żal mi żem góry i ten lud pochwalił
I sam na siebie prawiebym się żalił,

Bo jako biją szkodnicy jastrzębie,
Tak uderzycie na stado gołębie!

Zepsute dzieci lubią cacka psować;
A żal się Boże co piękne marnować!
Was nie uleczy ten lud swą prostotą,
Nie dla was mają polskie Tatry złoto.

Was nie rozjaśni ten świat swym uśmiechem,
Ani was natchną góry swym oddechem,
Ani was górskie wody nie obmyją,
Ani w was prawdy ludu nie ożyją!

Bo na to, byście stąd wracali krzepsi
Na duszy waszej i w ciele wzmocnieni,
Potrzeba, byście tu przybyli lepsi,
A ludzie po was nie byli zgorszeni.

TATRY.

Jak potopu świata fale,
Zamrożone w swoim biegu,
Stoją nagie Tatry w śniegu,
By graniczny słup zuchwale. —
Biodra Tatrów las osłania,
Ponad niemi stoi chmura,
A po halach wiatr przegania
Uronione orle pióra. —

Świat to chłodny; — a Łomnica
Świeci polskiej ziemi do dnia
Nad Tatrami jak pochodnia,
A na pełni jak gromnica.
Każda skała z tobą gada...
Wiatr, co w równiach ledwo wieje,
Z nóg tam garnie; deszcz, co pada,
To już w turniach śniegiem sieje.
A powyżej, wyżej jeszcze,
Pływa sobie orle wieszcze.
Gdy wyleci i zawiśnie
Na błękicie bez obłoku
I dokoła okiem błyśnie;
Widne stamtąd jego oku
Okolicznych wieżyc dachy
Polskie puszcze i ziemice,
Krakowskiego zamku gmachy
I węgierskich gór winnice.

III.

EDMUND WASILEWSKI.

MARZENIA W TATRACH.

ULAMKI

Witaj, śnieżna rodzino mętnego chaosu,
Albo z ziemi wykuta potopu taranem;
A gdy Azya wezbrała ludów oceanem,
Gościno jej prawnuków odmiennego głosu!

Góry! co jako kłęby olbrzymie kolosu,
Ściskacie kawał lądu i przed huraganem
Zasłaniacie go łonem z granitu ulanem?

Góry!... lecz, by was witać, mamże dosyć głosu?
Z kruchych wierzb nadwiślańskich lutnię trzy-
[mam w ręku,
W piersi obcego słońca nie żywi pochodnia,
Ojczysta moja lutnia i w ojczystym dźwięku
Skrycie u stóp Wawela przygrywała co dnia;
Dziś pierwszy raz w głośniejszym odzywa się
[brzęku,
Tatry! przyjmijcie drżącą piosenkę przechodnia.

Wyjaśni się tęskne oko,
Gdy w nieskalanej natury prostotę,
W zapomnianego świata wieki złote,
Myśl promienie marzenia zapuści głęboko.

Rozkołysze się marzenie,
Ku jasnemu wzbije niebu
Gdy wśród natury pogrzebu
Choć jeden kwiat powszechne minęło zniszczenie.
Ale kiedy natura w całej swej prostocie
Odmaluje się w oku żywa i wesoła,
Gdzie razem kwitną dęby i maleńkie zioła,
Wonne i pełne róże i puste paprocie;
Gdzie skałę, której czoło uwieńczyły bluszcze,
Zdobi dłuta natury rzeźba nieuczona,
A strumień, który dyszy z jej pełnego łona,
Nakazaną mu drogą ku niebu nie pluszcze,
Ale błękitną przepaską uprzejmie
Majowe błonie obejmie.
Ale kiedy wśród śniegów skośniałego roku
Zielonymi szczytami lasy się kołyszą,
I żywiąc mnogie sioła pod swych ramion ciszą,
Razem zimę i wiosnę przedstawiają oku,
A góra współdzielona wznosząc pierś olbrzymią,
Ogołocone z włosów czoło w chmurach myje,
Tak chciwie dusza rozkosz z tylu wdzięków pije,
Co własnemi ku niebu kadzidłami dymią
I jako niegdyś przy swojem stworzeniu
Stoją w zachwycenia drżeniu!..
O próżno nagłem biciem serce sobie radzi,
Prądem uczuć porwane, siebie nie pamięta,
Zanim myśl w tym rozkoszy zamęcie poczęta,
Ulatującą duszę na ziemię sprowadzi...

Takiem jest tutaj przybycie,
Takie są Tatry! takie serca bicie!
O góry! o prostoty nieskażonej świadki!
Góry! niech was szczeremi uściskam ramiony,
Jako dziecko łono matki,
Jak tułacz, gruzy chaty, w której urodzony!

WIDOK BABIEJ GÓRY.

Tam na wschód w mgły tumanach Babia góra stoi,
Błyszczący namiot śniegów jej ramiona stroi,
Przy niej góry uklękły, a ona nad niemi
Wyniosła jak bohater nad synami ziemi.
Chociaż piorun w jej łonie wyżłobił przepaście,
Dumna z tych ran, burz nowych odpiera napaście.
Ta stara córa ziemi na przestwór daleki
Z wyziębłych ust wyrzuca strumienie i rzeki;
A dwóch stref na swe łono zgromadziwszy zioła,
Młodniejąc pośród kwiatów na badacza woła.
Jej warkoczem las ciemny, w czarne pukle zwity,
Rumieńcem blask piorunu o śniegi odbity;
A na jej skroniach tęcza w grubych mgła się pali,
A u stóp las szumiący na burze się żali.
Rzucona od kibici czarna cienia wstęga
Daleko po jej siostrzyc białych czołach sięga.
Tak myśl wielka gdy w głowie mędrca się urodzi,
Długo umysłom w drodze badania przywodzi;
I rozsypując światło z własnego ogniska,
Ćmi każdą, która iskry z sprzecznych ogni ciska.

IV.

B. Z. STĘCZYŃSKI

7

ŁOMNICA.

Z POEMATU: TATRY

Witaj z morza granitów wybiegła Łomnico!
Niepożyta wiekami królowo — dziewico!
Twój widok pieści oczy i umysł upaja,
Jak gdyby Góra — biała albo Himalaja!
Poglądam rozczulony w pyszne lice twoje,
W twoje piersi wspaniałe, w twych ramion
[rozwoje.
Ty zasiadłaś na tronie ze śniegów i lodów,
Z którego na przestrzenie dwóch dzielnych na-
[rodów
Poglądasz sobie dumnie i głosisz rozkazy,
Okropniejsze nad wszystkich języków wyrazy!
Twoje sługi pioruny i chmury i burze!
Ślesz ożywcze powietrze roślinnej naturze!
Z twej woli wczesna wiosna, albo krótkość lata,
Albo też mroźna zima długo nas przygniata;
Czasami nieurodzaj, chorób różnych pory,
Zdajesz się sypać na nas, jak z puszki Pandory!
Ty urokiem poezyi przychodnia zachwycasz,
Ty wdzięki malownemi bosko się poszczycasz!

SIKLAWA.

Ogromna masa wody z wysoka się rzuca,
I spokojność ustroni grzmotami zakłóca;
I wściekłymi bałwany toruje łożysko,
I w miejscu swego spadu kłębuje się nisko;
I dąsa się i pryska wysoko pianami,
I rozbija się w skałach i trzęsie skałami!
I przeciwko granitom — zbytnie popędliwa,
Na pomoc swoją czasu siły przywoływa;
A woda chociaż miękka, a czas za leniwy,
Przecież pryska i niknie granit uporczywy;

. . . .

Witaj pyszny Siklawie! tych opok ozdobo!
Pozwól nam przypatrzyć się i nacieszyć tobą!
Twojej wzniosłej piękności nie można zaprzeczyć,
Lecz gniewasz się! jakbyś chciał tę skałę zni-
[weczyć!?

. . . .

O! ta wodna poezya, te gwałtowne szumy,
Niweczą w sercu człeka wszelki zaród dumy...
I dają poznać wiecznie swą krzepką młodością,
Że człowiek jest żyjącą słabą nikczemnością,
Że życia tak drogiego nie długie ma trwanie,
Że powinien w naturze mieć zamiłowanie...

. . . .

V.

X. MANIEWSKI.

(PODTATRZANIN).

TATRY.

NA SZCZYCIE PYSZNEJ.

I każdemu miło tu
Chwycić piersią tego tchu
I po świecie puścić wzrok.
Winc. Pol.

Ponad głową moją Bóg,
Tam do nieba wzrok podnoszę,
Pod nogami ziemia — wróg,
Panie! ja za ziemią proszę.

Tu swoboda — ach tu żyć!
Jako orzeł każ, niech krążę, —
Ja chcę orłem Tatrów być,
Niechaj z ciała się rozwiążę!

Ja dziś wielki, ja dziś król,
Cała ziemia moje państwo,
Chociaż czuję w sercu ból
Ziemia chce iść w me poddaństwo.
Lecz precz dumo, pycho precz,
Korz się — Boga tu mieszkanie —
Duchu! sięgnij myślą wstecz.

PISANA.

. . . .
. . . .

Góry zsiwiałe, brzemienne wieściami,
Tatrzańskie skały, czemu tak milczycie?
Czylim was zaklął mojemi myślami
I smutek posiał po wyniosłym szczycie?
Przemówcie dawną o góry przeszłością,
Ukojcie błogą serce moje wieścią.

Ni wielkie myśli, ni przeczucia wieszcze
Ani niebiańskie wybranych zachwyty,
Ale przeszłości niech się ozwie jeszcze
Głos sercu memu w tych górach ukryty;
Ten mi najmilszy, o! niech go zasłyszę
I nim zstęsknioną duszę ukołyszę!

Opoki milczą i patrzą się groźnie.
Ja zaś nieśmiały krok posuwam dalej,
W głębi mej duszy życie stygnie — mroźnie...
A wirch spiętrzony zda że się powali.
O niechże prędko stanę u Pisanej,
U tej Dunajca opoki źrodlanej!

Woda z czeluści tatrzańskich tu żywo
Biegnie i życia oznaki wydaje.
Może też znajdę z przeszłością ogniwo,
I duchem wzlecę w dawne życia maje!

Może się dowiem coś o bojownikach,
Którzy spoczęli w tatrzańskich chłodnikach.

Długo o długo — z Bolesławem Śmiałym
Uchodząc z kraju waleczni rycerze —
Klęczą w obozie Tatrów skamieniałym
I mówią wszyscy pokutne pacierze.
Ileż tam oni pacierzy zmówili,
Ileż pokutnych łez nie naronili!

A przecie jeszcze dotąd pokutują,
I dzielny z nimi król Bolesław razem,
I chociaż szczerze za grzechy żałują,
A winę zmazać chcą ostrem żelazem;
Trudno im z tego obozu wyruszyć,
Trudno im pęta kamienne pokruszyć.

Stoję zdumiały przed wyniosłą ścianą.
Tu już nie martwo u źródła żywego...
Patrzę się chciwie w ogromną Pisaną
Tu rejestr imion języka wszelkiego...
Jakże tu zgodnie wszyscy się zmieścili,
I może zgodnie wszyscy pomyślili!..

I długom nad tą podumał zgodnością,
Nad wspólnym Ojcem tam w niebios mieszkaniu.
A bawiąc ducha Bożą wszechmocnością,
Byłem w przyszłości pogodnem zaraniu...
Zgodność na martwej ujrzałem opoce,
A chyba ujrzę aż w rajskiej zatoce.

VI.

A. ASNYK.

Z CYKLU: W TATRACH.

RANEK W GÓRACH

Wyzłocone słońcem szczyty
Już różowo w górze płoną,
I pogodnie lśnią błękity
Nad pogiętych skał koroną.

W dole — lasy skryte w cieniu
Toną jeszcze w mgle perłowej,
Co w porannem oświetleniu
Mknie się zwolna przez parowy.

Lecz już wietrzyk mgłę rozpędza,
I ta rwie się w chmurek stada....
Jak pajęcza, wiotka przędza,
Na krawędziach skał osiada.

A z pod sinej tej zasłony
Świat przegląda coraz szerzej,
Z nocnych, cichych snów zbudzony,
Taki jasny, wonny, świeży.

Wszystko srebrzy się dokoła
Pod perlistą, bujną rosą,

Świerki, trawy, mchy i zioła
Balsamiczny zapach niosą;

A blask spływa wciąż gorętszy,
Coraz głębiej oko tonie,
Cudowności świat się piętrzy
W wyzłoconej swej koronie.

Góry wyszły jak z kąpieli
I swem łonem świecą czystem,
W granitowej świecą bieli,
W tem powietrzu przeźroczystem.

Każdy zakręt, każdy załom,
Wyskakuje żywy, dumny;
Słońce dało życie skałom
Rzeźbiąc światłem ich kolumny.

Wszystko skrzy się, wszystko mieni,
Wszystko w oczach przeistacza —
Gra przelotnych barw i cieni
Coraz szerszy krąg zatacza.

Już zdrój srebrną pianą bryzga,
Gdy po ostrych głazach warczy...
Już się żywszy odblask ślizga
Po jeziorek sinej tarczy.

Już pokraśniał rąbek lasu...
Już się wdzięczy i uśmiecha
Brzeg doliny — a z szałasu
Dolatują śpiewne echa...

Przez zielone łąk kobierce
Dzwoniąc, idą paść się trzody...
Jakaś rozkosz spływa w serce,
Powiew szczęścia i swobody.

Pierś się wznosi, pierś się wzdyma,
I powietrze chciwie chwyta —
Dusza wybiedz chce oczyma
Upojona, a nie syta;

Niby lecieć chce skrzydlata,
Obudzona jak z zaklęcia...
I tę całą piękność świata
Chce uchwycić w swe objęcia.

MORSKIE OKO.

I.

Ponad płaszczami borów, ściśnięte zaporą
Ścian olbrzymich, co w koło ze sobą się zwarły,
Ciemne wody rozlewa posępne jezioro
Odzwierciedlając w łonie głazów świat zamarły.

Stoczone z szczytów bryły, mchu pokryte korą,
Po brzegach rumowisko swoje rozpostarły:
Na niem pogięte, krzywe, kosodrzewu karły
Gdzieniegdzie nagą pustkę w wianki swe ubiorą.

Granitowe opoki wyniesione w chmury
Rzadko tam żywsze blaski słoneczne dopuszcza...
I tajemnicze głębie kryje cień ponury.

Cisza — tylko w oddali gdzieś potoki pluszczą,
Lub wichry przelatując nad zmartwiałą puszczą
Swym świstem grozę dzikiej powiększą natury.

II.

Tu myśl twórcza straszliwą pięknością wykwita:
Pięknością niezmierzonej potęgi i siły,
Co gromami na skałach rozdartych wyryta
Świadczy dziś o przewrotach w łonie ziemskiej
[bryły.

Dziki zamęt! — Głazami zasłane koryta
Zdaje się placem boju, gdzie niegdyś walczyły
Północne groźne bogi i krew ofiar piły
Z czary, która w jezioro upadła — rozbita.

Wszystko tu do ostrego tonu się nagina:
Poszarpane gór grzbiety, wody co czernieją,
Skały, wiszące śniegi, zarośla, mgła sina...

Wszędzie surowa wielkość, przed którą maleją
Sny człowieka, co staje jak mała dziecina,
Przed skamieniałą dawnych bogów epopeją!

V.

O wielki poemacie natury! któż może
Iść w ślad za twych piękności natchnieniem wie-
[czystem?
Kto uchwyci poranku wzlatującą zorze
I zapali rumieńce na niebie gwiaździstem?

Kto wyrzeźbi kamienne wodospadu łoże?
Przemówi szumem fali, wichru dzikim świstem?
Srebrne chmurki zawiesi w szafirów przestworze
I odbije skał ostrza w wód, zwierciadle czystem?

O wielki poemacie! Ciebie tylko można
Odczuć i wielbić razem w drgnieniu serca skrytem,
Gdy pijąc wszystkie blaski, źrenica pobożna

W cichym zachwycie tryśnie źródłem łez obfitem,
Gdy na skrzydłach tęsknoty dusza leci trwożna
I nakrywa się własnych marzeń swych błękitem.

KOŚCIELISKA.

Oto tatrzańska sielanka
Łagodną wabi ponętą

Jak dziewczę, co uśmiechniętą
Twarzyczką wita kochanka...
Przez skał rozdartych podwoje
Przegląda wąwozu łono,
Gdzie szumią srebrzyste zdroje
Melodyę głazom nuconą —
Przez skał rozdartych podwoje
Świerk zwiesza konary swoje,
I słońca blask się przeciska...
To Kościeliska!

Zielona skacze dolina
Przez strumień z brzegu do brzegu,
Gdzie potok wstrzyma ją w biegu
Na góry łączką się wspina,
I postać przybiera sielską,
Strojąc się w trawę i zielsko,
I kwiaty do swego wianka,
Wplatając ręką niedbałą...
A dołem skryta pod skałą,
Z marmurowego wciąż dzbanka,
Czysta Najada swe fale
W przejrzystym sączy krysztale,
I strąca potok z urwiska...
To Kościeliska!

Pionowo sterczące skały
Igłami świerków się jeżą,
W ciemną się zieleń ubrały,

Lecz w balsamiczną i świeżą,
Z której gdzieniegdzie szczyt biały
Kamienną wytryśnie wieżą,
Lub nagie wapienia ostrze
Szeroko pierś swą rozpostrze.
Za każdym drogi zakrętem
Cały krajobraz się zmienia,
Jakby w królestwie zaklętem
W głaz zamienione marzenia,
Dziwaczne fantazyi gmachy
Z wejrzeniem coraz to nowem,
Wiszące ściany i dachy,
Tłoczą się ponad parowem,
Lub uciekają w lazury
Ręką marzącej natury
Wypchnięte z ziemi ogniska...
To Kościeliska!

Srebrzyste wstęgi katarakt,
Oprawne w zielony szmaragd
Mchów rozesłanych na skałach
I drobnolistych paproci;
W powietrzu pełno wilgoci
I chłód rzeźwiący w upałach —
Zwalone kłody i mosty,
Łomy strącone z wierzchołków,
Rdzawe na głazach porosły,
Co woń roznoszą fijołków,
Żywiczne świerków oddechy,

Błękitnych niebios uśmiechy,
I spokój dla duszy słodki —
I zawieszone wysoko
Nad niedostępną opoką
Gwiaździste srebrne szarotki —
Wszystko się srebrzy lub złoci...
W kropelkach świeżej wilgoci
Tęczową barwą połyska
To Kościeliska!

LIMBA.

Wysoko na skały zrębie,
Limba iglastą koronę
Nad ciemne zwiesiła głębie,
Gdzie lecą wody spienione.

Samotna rośnie na skale,
Prawie ostatnia już z rodu...
I nie dba, że wrzące fale
Skałę podmyły u spodu.

Zgodności pełną żałobą
Chyli się ponad urwisko,
I widzi w dole pod sobą
Tłum świerków rosnących nizko.

Te łatwo wschodzące karły,
W ściśniętym krocząc szeregu,

Z dawnych ją siedzib wyparły
Do krain wiecznego śniegu.

Niech spanoszeni przybysze
Pełzają dalej na nowo!
Ona się w chmurach kołysze —
Ma wolne niebo nad głową!

Nigdy się do nich nie zniży,
O życie walczyć nie będzie —
Wciąż tylko wznosi się wyżej
Na skał spadziste krawędzie,

Z pogardą patrzy u szczytu
Na tryumf rzeczy poziomej...
Woli samotnie z błękitu
Upaść strzaskana przez gromy.

GIEWONT.

Stary Giewont na Tatr przedniej straży
Głową trąca o lecące chmury —
Czasem uśmiech przemknie mu po twarzy,
Czasem brwi swe namarszczy ponury,
I jak olbrzym w poszczerbionej zbroi
Nad kołyską ludzkich dzieci stoi.

Przez ciąg wieków wznosi dumne czoło,
I wysuwa pierś swą prostopadłą,
Patrząc z góry na wieśniacze sioło,
Co pokornie u nóg jego siadło.
Przez ciąg wieków straż swą nad niem trzyma
Z troskliwością dobrego olbrzyma.

Wypiastował już pokoleń wiele,
Które wieczny związek z nim zawarły,
Z nim złączyły swe losy i cele,
Przy nim żyły i przy nim pomarły,
Nawet myślą z pod jego opieki
Nie wybiegłszy nigdy w świat daleki.

Wypiastował cały ród górali —
On ich widział, gdy dziećmi radośnie
U stóp jego bawiąc się pełzali,
Widział młodzież, jak mu w oczach rośnie,
Jak się krząta koło swego plonu,
Widział potem starców w chwili zgonu.

Zna więc dobrze bieg ich trwania krótki,
W ciasnem kółku zamknięte nadzieje,
Ich radości, pragnienia i smutki,
Co ich boli, co im piersi grzeje,
Zna zabiegi i spory gorące
O kęs ziemi na polach lub łące.

On się przyjrzał kolejom powszednim,
I był sędzią już niejednej sprawy...
Nieraz w nocy rozegrał się przed nim
Jaki dramat posępny i krwawy —
Widział różne skryte ludzi czyny,
Widział cnoty, widział także winy.

Lecz choć czoło chmurami powleka,
Zbyt surowo nikogo nie sądzi,
Bo zna dolę biednego człowieka,
Który idąc na oślep zabłądzi,
I o głodzie wzrok obraca chciwy
Na żyźniejsze swych sąsiadów niwy.

Raczej czuje dla tej biednej rzeszy
Wielką litość w piersi swej kamiennej
Od kolebki bawi ją i cieszy,
Z każdą chwilą, biorąc strój odmienny
Przed jej okiem stroi się i wdzięczy
Pożyczając wszystkie barwy tęczy.

Dla niej wstaje w gęstej mgły zasłonie,
Którą zwolna rzuca z ramion we dnie,
Dla niej w wieczór cały ogniem płonie,
I szarzeje, mroczy się i blednie,
Zawieszając księżyc w swojej szczerbie,
Jakby srebrną Leliwę miał w herbie.

Dobry olbrzym! troszczy się o ludzi
Co się jego powierzyli straży —
Śpiące dusze z odrętwienia budzi,
I piękności poczuciem je darzy,
I rozrzuca nad dzieciństwa nocą
Pierwsze blaski, które życie złocą.

Tak jak w baśni; kocha się w pasterce
Dobry olbrzym i dobiera kluczy
By otworzyć nawpół dzikie serce;
Tak jak w baśni; swych tajemnic uczy,
Uczy znosić ciężkie losu brzemię,
I miłować swą rodzinną ziemię.

VI.

FR. H. NOWICKI.

Z OBRAZÓW PUSTYNI.

TATRY.

W dali!... jakby ciągnący ławą huf kresowy,
Z gwiazdami na szyszakach, z proporcem obło-
[ków
Zakamieniał, dotarłszy aż do nieba stoków,
Tak Tatry ciemnym murem zwarły dumne głowy!

Wielki jak sny młodości — mroźny kraj śniegowy!
Gdzie król burz — halny orkan — błądzi w szacie
[mroków,
Gdzie wiszą gniazda orłów, gromów i potoków,
Gdzie mistrz świata w obłokach ma tron grani-
[towy!

Tatry!... czemuż jak siedzib szukające ptaki,
Myśli moje ku waszej zamarłej pustyni
Lecą przez mgłę tęsknoty i przez marzeń szlaki?

O pustyni tatrzańska! bo na tym obszarze
Całej mojej ojczyzny — o skalna świątyni —
W tobie jednej są jeszcze — swobody ołtarze!

ZAWRAT.

Stanąłem na przełęczy... świat czarów prze-
[demną!
Wzrok zdumiony weń topię, podziw duszę
[tłoczy...
Dołem — stawy czernieją, jak piór pawich oczy,
W górze — pieśń!... ale myślą stworzona nad-
[ziemną.

Pieśń runami granitów pisana przedemną,
Skamieniały sen Stwórcy, dumny sen, uroczy!
Tam ku krańcom pustyni gwiazda dnia się toczy,
Płoną szczyty — tam z głębin wstaje wieczór
[ciemny.

Siadłem; cisza na górach — oko stawów drzymie;
Patrzę w Tatry, w te runy przedwiecznej zagadki,
Chciałbym przejrzeć, przeniknąć jej myśli olbrzy-
[mie,

Wiatr-bajarz lekkim palcem strunę marzeń trąca,
Z wolna uchodzą z serca goryczy ostatki,
O! tu siedzieć i słuchać i dumać bez końca!

ZAMARZŁY STAW POD ZAWRATEM.

Skalny kocieł!.. dno jego lód ze śniegiem ścieli,
Czarne, łyse urwiska tego kotła ściany;
To piekło zamrożone!.. pierzchły zeń szatany
I zamarzły skał rzędem dokoło gardzieli.

Szyba lodu odemnie otchłań stawu dzieli.
Czarny otwór we środku... tam lód roztajany —
Chciałem zajrzeć... zawracam blady, zadumany,
Śmierć tam na mnie spojrzała oczyma topieli.

Wzrok ucieka nad krańce tej natury zmarłej:
Tam, prosto z nieba biała zlatuje drożyna
Z obu stron ją opoki wąwozem zaparły.

Czy tą ścieżką, śniegową wiatr-śmiałek się wspina
Na te skalne kolumny, co łuk nieba wsparły?
To Zawrat... nas powiedzie ta biała ścieżyna...

SIKLAWA.

Przedemną rzeka śniegu lecąca pionowo,
Ze źródłem wydźwigniętem do nieba krawędzi,

Przedemną — pian lawina! puch szyi łabędziej,
Roziskrzony na skałach wstęgą brylantową.

To Siklawa! — O, dzika, dzikich wód Królowo!
Biały rumak twój ze skał rozhukany pędzi,
Wspina się, gdy kopytom braknie skalnej piędzi,
I łbem śnieżnym zlatuje w otchłań granitową.

Siklawo! ty huk gromom wyrwawszy zuchwale
Wiecznie w jedną głębinę staczasz się kipiąca,
Gdzie rozbijasz wyjące z rozpaczy swe fale.

Tęsknoto! ty żrąc ogniem skradzionym u słońca,
Wiecznie strącasz łzy moje w jedną głąb bez
[końca,
Gdzie na nutę odwieczną serce płacze żale....

MORSKIE OKO.

Czemu, gdy księżyc wschodzi jak mara spło-
[szona
Staw stopionych szafirów w gór zapada spody,
I źrenica Tatr, oko marzącej przyrody
Spuszcza rzęsy mgieł — tonie wśród pomroku
[łona?

A księżyca twarz dziwna, smutna, zamyślona,
Wstrzymuje bieg tułaczy między skał obwody,
Patrzy długo w zakryte mgłą jeziora wody,
I blednie coraz bardziej — a nad ranem kona?

Może kiedyś ten księżyc młody i płomienny
Kochał ziemię i patrzał w jej źrenicę cudną,
Aż zdradzony dla słońca uciekł za świat dzienny...

Lecz zapomnieć kochanki swej młodości trudno!
Wiecznie ku niej powraca wygasły, bezsenny,
I blady patrzy na nią, jak w mgłę pierzcha złu-
[dną...

Z CYKLU: TRAGEDYE PUSTYNI.

KOZICA.

Dziwny głos bólu, strachu, rozpaczy złowrogiej,
Biegnie w skalnych ruinach, w praświata zwa-
lisku...
To kozica, w żelaznym oklepca uścisku
Poruszy skały jękiem śmierć wróżącej trwogi.

Wolna córa gór patrzy na łańcuch u nogi
Mętnem skazanki okiem, bez nadziei błysku,

I skargi dziwne, ludzkie, śle ku skał urwisku,
Rzekłbyś: To śpiew łabędzi po wolności drogiej.

Tam — po turniach jej stado rodzinne gdzieś
[goni...
Tam — swobodnym siostrzycom wiatr pieśń halną
[dzwoni...
Tam jej młode... bez piersi matki... tęsknią do
[niej...

Coś brzmi w skałach!... to stado!.. niech stanie!...
[niech czeka!...
Nagle drgnęła — mgłą śmierci oko się powleka...
Tam!... wynurza się z turni groźno — cień czło-
[wieka...

SZAROTKA.

Grania, gdzie błądzi tylko stopa wiatru lotna,
Ku szarotce błyszczącej wśród turni szeregu,
Jak zmarzła gwiazda, puchem otulona śniegu —
Wspina się ludzka postać śmiała i obrotna.

Ptasia droga prowadzi do skalnych ścian brzegu,
Tam gdzie pełza ten góral — droga bezpowrotna!
Czy go ciągnie w tę drogę szarotka samotna?
Czy dla niej życie swoje chce powstrzymać
[w biegu?

On grosz za nią dostanie!.. trwożnym ruchem kota
Wspiął się... zwisnął w powietrzu... kładzie rękę
[na niej...
Zerwał!.. zamknął nad kwiatem palce — śmierci
[wrota.

Czemuż nagle zbladł patrząc zejścia w dół po
[grani?
Ha!.. nie można zejść na dół, nie zbywszy
[żywota!
Odwróć oczy... rozegra się dramat otchłani...

VII.

J. KASPROWICZ.

Z WICHRÓW I FAL.

II. TATRY.

CISZA WIECZORNA.

I.

Rozmiłowana, roztęskniona,
Hen! od wieczornej idzie zorzy
Zamykać Tatry w swe ramiona.

Przed nią zawiewa oddech boży:
Wonie jedliczne i świerkowe
Ze swych lesistych wstają łoży.

A ona tuli jasną głowę
Do Osobitej, by wraz potem
Kłaść ją na piersi Gewontowe.

Po reglach muśnie li przelotem,
Czoło Świnnicze w żar rozpali
I Hawrań zleje krwawem złotem.

Tak mknąc po szczycie i po hali,
Z ogniem tęsknicy ginie w dali...

II.

Płonie kamienna Tatr korona,
A cisza siada między granie,
Rozleniwiała, rozmarzona.

Nad przepaściami niema stanie,
Senność przelewa w mgieł opary,
Po skałach wiesza zadumanie.

Ani się ozwie bór prastary
Ona milczeniem gniecie smreki
Unieruchamia ich konary.

Przez cały przestwór, przez daleki,
Głuchą za sobą tęskność wlecze,
Snać dźwigająca wieki... wieki...

Za nią, jak zdrój, co ledwie ciecze,
Snują się ciężkie myśli człecze.

III.

Owiana mgłami różowemi,
Przystaje w drodze zalękniona,
Przykłada ucho swe do ziemi.

Nic! tylko gdzieś tam echo kona,
Tylko przygasa obłok krwawy,
Tylko blednieje Tatr korona.

Pomrok osłania skalne ławy,
A od nich płynie do stóp ciszy
Li jednostajny szmer Siklawy.

Czasem zaklęty las zadyszy,
Albo wystrzelił krzyk pastuszy
I zmilkł... I ona znów niesłyszy

Nic w tej przelękłej, mrocznej głuszy —
Nic, prócz pojęku twojej duszy...

IV.

Rozmiłowana, roztęskniona,
Schodzi powoli od miesiąca
Zamykać Tatry w swe ramiona.

Po halach srebrne krople strąca,
Srebrzy potoków seledyny,
Ciche pacierze szeptająca.

Upłazy tuli w całun siny,
Szkliwy, jak przędze te pajęcze;
Blask żenie srebrny na gęstwiny;

Blask żenie srebrne na przełęcze,
Na wirchy, kopy, na grzebienie,
Na przepaściste ścian poręcze —

Blask naokoło srebrny żenie,
Z nim wyczerpanie i omdlenie...

V.

Opadły Tatry i omdlały,
Gdy na nie cisza rozmarzona
Płaszcz zarzuciła wiewny, biały:

Gdy rozpostarła swe ramiona —
Srebrnej rozświetli mgławe smugi, —
Gorące czoła gór do łona:

Jak pas szeroki, jak pas długi,
Od Lodowego do Krywania,
A z nimi puszcze, stawy, strugi,

Szczyt się przy szczycie ku niej słania...
Ona omdlenie wciąż rozsiewa,
Aż w tym bezkresie wyczerpania,

Tuląc się gdzieś do limby drzewa
Sama wraz z bólem twym omdlewa...

WIATR ZGINA SIEROCE SMREKI.

Wiatr zgina sieroce smreki
W okna mi deszczem siecze —
Cicho się moja dusza
Po mgławych drogach wlecze.

Ku turmom płynie kszesanym,
Ku perciom nad przepaściami,
Gdzie widmo bożych tajemnic
Zmaga się w szumach z nami.

Ku wichrom płynie strzelistym,
Spowitym w słoneczne złota,
Gdzie o bezbrzeżnych przestworach
Samotna śni tęsknota.

Po reglach pełzną dymy,
Mgławica deszczem prószy —
Hej góry, zaklęte góry,
Tęsknico mojej duszy!

VIII.

MACIEJ SZUKIEWICZ.

Z CYKLU: TATRY.

ZAKOPIAŃSKA BAJKA.

„Kto chce mieć zbójnickie złoto
„Po miesiączku w las mu trza,
„Ale ten niech idzie po to,
„Kto sposoby dobrze zna.
„Trza mu iść pod stary buk,
„W korze niechaj krzyż naznaczy
„I zaprzęże w jeden pług
„Siedm źrebców z jednej klaczy,
„Urodzonych w jednym dniu,
„Jednej maści, jednej miary,
„A skarb ziemia wyda mu“.

Tak w szałasie baca stary
Jak mawiali ojce starzy
Do juhasów cicho gwarzy,
Ogień skwierczy popod ścianą,
Lecz go wiatr przez szpary gasi,
— „Maciek! dorzuć tam polano...“
Cicho baco, śpią juhasi —
A choć słyszy jeszcze Maciek
Darmo teraz wołać go,
Tak się cały myślą zaciekł,

Gdzie to takie źrebce są,
Skądby takie źróbki mieć,
Coby jednę miały szczeć
I w dniu jednym wedle gadki
Od tej samej były matki.

Zagasł ogień popod ścianą —
Już i baca w kącie śpi.

Ledwie słonko wyszło rano
Z baranami chłopcy szli.
Dzwonią dzwonki, skot się pasie,
Maciek został sam w szałasie.
Siadł na progu — duma sobie,
Jedną myślą wciąż się biedzi,
Aż tu spojrzy — a tam w żłobie
Na drobiazgu kwoka siedzi.
Spędził kokosz — duma sobie.
Schmurzył czoło skłopotane,
Wreszcie klasnął w ręce obie
I poskoczył przez polanę.
Wpadł w kosówkę, rwie gałązki,
Struga, klini, zgina w łuk,
Spodem wprawi kozik wązki
I już gotów mały pług.
Potem z guńki wyrwie nici,
Bicz ukręci, lejce zwiąże,
Siedm kurcząt w lot pochwyci
I do pługa je przyprząże.

— „Wiśta, hejta, źróbki gniade!
„Hej orajcie mi głęboko,
„Hej, orajcie mi głęboko,
„Kiedy nocką w bór pojadę!“

Trzoda, becząc z paszy wraca,
Maciek duchem w lasy bieży —
W okół kotła chłopcy, baca,
Niema Maćka przy wieczerzy.

Wyszedł miesiąc pozłocisty
Idzie granią po Koszystej.
Maciek z kurczętami w garści
Śmiga jeno poprzez chraści.
Siedm rzek ostawił w tyle,
Siedm gór i dolin tyle,
Przebył gąszcze i ruczaje
I pod starym bukiem staje.
Bór w około ciemny, głuchy,
Nocny jeno huka ptak —
Jęk puszczyka dobry znak!
Dobądź pługa z za pazuchy!
Rąbanicą zaciął w buk,
Echo wtórzy mu: stuk, stuk...
Krzyż wycięty już na korze,
Teraz śmiało orać może.
Dobył pługa, zaprządł kurki,
Ujął krzepko lejców sznurki,
Zaciął biczem, ziemię orze,

Puszczyk jęczy, huka w borze.
Kurki mu orają w lot,
Siągę kopią, kopią głębiej,
Na nim wybił siódmy pot
I włos mu się na łbie dębi.
Wtem żelazo w ziemi zgrzytnie,
Drugi miesiąc błysnął z doła —
Świeci, miga, skrzy błękitnie —
„Mam cię skarbie!“ — oracz woła.
Chybnął w dziurę, sięga dłonią,
Własnym oczom swym nie wierzy,
Lecz dukaty w ręku dzwonią,
Lecz stos złota przed nim leży.
Do cna wybrał wprzód czerwieńce,
Potem kolce i pierścieńce,
A gdy wreszcie noc pogodna
Rozwidniała jutrznią białą,
Dobył złota górę całą,
A nie mógł się dobrać do dna.

RANKIEM W MORSKIEM OKU.

I.

Jeszcze noc... lecz za chwilę dzień odemknie oczy,
Zmorzone snem powieki skrzydłem wichru prze-
[trze,
Słonecznym pocałunkiem rozgrzeje powietrze
I nad szarym granitem przepych barw roztoczy.

Jeszcze noc... lecz na nieba spłowiałej przeźroczy
Jedna za drugą gwiazdy mrą już coraz bledsze,
Mgły do skał przytulone frunęły na wietrze
I dreszcz oczekiwania przemknął wzdłuż uboczy.

Wtem jutrznia złowroga grzbiety gór ubodła.
Krwawią się wierchy, granie, przełęcze i siodła.
W złoty szyszak się zmienił czarny kaptur
[Mnicha
Wpatrzonego w toń wodną, co mimo brzask
[ranny
Długo jeszcze w perłowej omroczy śpi cicha
Nakształt jednej, olbrzymiej szyby zwiercia-
[dlanej.

II.

Senże-to czy też jawa? Nademną, podemną
Jednako niezmierzone ciągną się błękity
Nademną i podemną z toni modrolitej
Zjeżone krzesanice wznoszą pierś swą ciemną.

Senność barw, linii, kształtów zjęła głąb pod-
[ziemną —
W górze ostre krawędzie, spękane granity...
Na obcy mu świat ducha, czarem fal spowity.
Świat zjawisk patrzy twarzą groźną i tajemną.

O duszo! jak rzucony kształt na wód powierzchnię
Rzeczywistość w twych głębiach zćmiewa się
[i mierzchnie
W obrazy widmom równe, zwiewne, tajemnicze,
O, życie! jak to wodne, tyś jest rozgranicze
Między tem, co trwa wiecznie a tem, co ma
[minąć —
Mnie miedzą tych dwóch dziedzin płynąć wciąż
[i płynąć.

IV.

Kazałem opaść martwo białym pletwom promu
Toń wkrąg się ułożyła gładka jednolicie.
Pod stopami mam nadir, z zenitu nakrycie
I nie lękam się więcej orkanów ni gromu.

W szklanej dwóch niebios baśni jam osią ogromu,
Jam słońcem, centrem, wszystkiem! Prócz mnie
[na błękicie
Nie otrwa się kształt żaden, nie ostoi życie —
Tu mieszkać tylko bogom, i więcej nikomu!

Tu mieszkać tylko bogom, dłonią bogów twórczą
Siać ziarno nowych bytów na próżni ugorach,
Przeżyte formy niszczyć wolą światoburczą,
Niezmiennym być w przemianach wszystkich,
[wszystkich porach

I trwać tak bez początku, bez kresu, bez mety
Wiecznym w wiecznej wieczności... ach i czuć
niestety!

VI.

Lecz znikąd krzyk nie leci. Pustkowi tych ciszę
Mąci jeno plusk wioseł, gdy w kryształ je werznę.
Rozprysnęła się woda w kręgi równoległe
I niby na sen wieczny miękko mnie kołysze.

Cicho... a jednak ciągle znany mi dźwięk słyszę,
Głośniejszy nad szept fali, nad kaskady śnieżne
I nie limby to szumią ni świerki nadbrzeżne
I nie krzyczą to w chmurach orły-towarzysze.

Skąd mi ten głos tak znany, tak drogi, tak
bliski,
Że porzuciłbym błękit i brał go w uściski
I tulił go i pieścił, koił i uśmierzał?
Poznałem... To jęk niemych z ziemi tu przy-
Okropny jęk milionów. [bieżał,
. . . .
Z samotni jeziornej
Powracam znów do ludzi lepszy, bo pokorny.

IX.

FR. MIRANDOLLA.

Z CYKLU:
IN HAC LACRIMARUM VALLE.

Porwał mi duszę dziki wiatr
I uniósł ponad ziemią
Na granitowe szczyty Tatr,
Gdzie myśli we mgle drzemią.

I ułożyłem duszę mą
Na zimnych skał podłoży,
Niech nad nią słońca strzały mkną
I hula wicher boży.

Niech prześni długi zdrowy sen,
Zapomnień i odnowy
Głęboki, cichy, jako ten
Ton nieba lazurowy.

Nie szkoda mi, że w głuchą dal,
Odeszła spać w mgieł cieni,
Choć przemknie kilka życia fal,
Toć życie się nie zmieni.

Choć na samotnych duszę mą
Złożyłem skał podłoży,
Toć nad nią słońca strzały mkną,
Jej śpiewa wicher boży.

X.

WANDA KRZYŻANOWSKA.

O pójść tam w turnie! i do skalnej ściany
tulić o zorzy głowę w sen zapomnień,
by żaden, żaden głos stąd rozpłakany
nie przyniósł echem ciemnych, smutnych wspo-
[mnień.

O pojść tam w groźne zapatrzyć się szczyty
i w dzikie szumy wsłuchać się kaskady,
a runie w przepaść sznur dni przeszłych blady,
krwawy i gorzki na pył łez rozbity,

i stać się sosen tam samotnych siostrą
i orłów dzikich spokojnych królewną,
w skałach, co patrzą zimno, groźnie, ostro,
zgubić tę nutę z dni niedoli rzewną,

i być tam silną jak strumień wezbrany
i tak królewską jak orły po szczytach
i być tak dumną jak skał sinych ściany
i tak spokojną jak zorze w błękitach,

i mieć swym domem kwietniane przełęcze
mgły księżycowe domu swego progiem
i tam nad czołem, mając złote tęcze,
przy głosach wichru mówić z samym Bogiem.

Niechby tam grzmiał błyskawic grom,
Niechby się chwiał świat sinych gór,
cichoby spał mój skalny dom
pod oceanem zczerniałych chmur,

bo każdą skargę, lęk i łzy
rozwiałby wirch potężny
w niedostrzegalny puch —
I starłby się mój duch
jak orły dziki, mężny
i jako szczyty stałyby się jego sny.

XI.

WACŁAW WOLSKI.

Z CYKLU:
BALLADY TATRZAŃSKIE.

KAMIENNI ŚWIĘCI.

Śród szarych gór,
Kamienny, szary,
Kościelny mur
W kamiennej ciszy,
Kamiennych świętych zdobią szare mary,
Których milczenia mowy nikt nie słyszy,
I śnią na ciemnem Gubałówki tle,
Dywanu smrekowych borów...
Ze złotej czary
Słońca świetliste krzyżmo zlewa się,
Jak nimb, na szarość kamiennych kędziorów...

Maści głaz czół,
Kamienne usta
Słoneczny muł,
I na pierś spływa,
Co milczy, chłodna, kamienna i pusta,
Jakby jej nigdy nie kryła lwia grzywa,

Jakby z niej nigdy nie płynął ryk lwi,
Spiżowy wybrańca Boga!...
Kamienna chusta
Milczenia legła na wargach bez krwi,
Które namaszcza światłość słońca błoga...

To słońce — Mag
Tak wtajemnicza,
Zaklina tak
Kamiennych magów...
Jaśnieją nimbem kamienne oblicza,
Jak sędziów świętych izb — areopagów,
I jakiś wyrok kryją w rysach swych,
Kamienny wyrok milczenia...
Myśl tajemnicza...
Szept niesłyszany na wargach ich ścichł,
Sfinksa zaduma ich czoła ocienia...
Milczą, jak grób,
Kamienni święci,
Kiedy Tatr trup
Śni, w lód zakuty,
Gdy wicher śniegu tumanami kręci,
Gdy kły wyszczerzy tatrzański mróz luty
I szary kamień posągów chce zgryźć!..
Lecz próżno kleszcze kłów zwiera
I bez pamięci
Wichrem omiata z ich głów śnieżną kiść!...
Twardego głazu nie zgryzie, cholera!..

Milczą, jak grób,
Jak Tajemnica,
Prawd złoty łup
Na pierś kryjąca,
W bladych srebrzystych promieniach księżyca,
W złotych, kipiących kataraktach słońca,
Co nad skalistem Kolizeum Tatr,
Jak gwiazda ślepiąca, pała,
Pożarolica!..
I kiedy wstrząsa niemi halny wiatr,
Jak wszystkich wichrów orgja oszalała!
Pod naszych pól
Skalistą miedzą,
Jak Polski ból
Niobowy, niemy,
Stoją... Swej prawdy nigdy nie powiedzą,
Czemu tak długo w niewoli płaczemy,
Nad Babilonu rzekami, w krwi łez,
W tych szarych, pokutnych worach...
Choć dobrze wiedzą...
Kiedy pokuty naszej będzie kres?...
Lśni krew na szarych, kamiennych kędziorach...

KOŚCIÓŁ W PORONINIE.

...Poczerniały od wichrów, omszały staruchu!
Pękata górska arko, coś tutaj ugrzęzła,
Od wieku, jak juhaska, przysadzista, zwięzła,
Oporna wściekłej furyi halnego podmuchu!..

Omszałemi ścianami krzepko wrastasz w ziemię,
Jak Tatr baca baniasty, co zimy noclegiem,
Przywalony, pochyły, zgarbiony pod śniegiem,
Przypomina słoneczne i mocarne plemię!..

Podpierając ciemnemi, omszałemi bary
Widmo wieży, zbój dawny śnisz, Sabało stary.
I skórzane, mosiądzem nabijane pasy,

W których sczerniałe, śmigłe, olbrzymie juhasy,
Koczowały po Tatrach, jak orliska duże,
Poprzez śnieżne zawieje i łamiące burze...

Z „SONETÓW TATRZAŃSKICH".

O ZMIERZCHU.

W powietrzu płowem, mglistem i zmierzchem na-
[lanem
Wirują białych i śnieżnych kryształów miliony...
Wirchy, regle ciemnieją we mgle oddalonej...
Ich kontury stapiają się z powietrzem szklanem.

Już prószący śnieg bieli płaszcz smreków zielony,
Rozesłany drzemiącą puszczą w Zakopanem,
Osłaniający regle drzew ciemnym dywanem
Piramidalnych, dużych... śpi bór uśmierzony...

W śnieżnej mgle majaczeją Tatr ciemne olbrzymy,
Pogrążone w milczeniu i wielkiej zadumie...
W zachwyconym bezruchu z Kozieńca patrzymy,

Jak sarkofag Giewontu w monarszej śni dumie,
Hen! ku gwiazdom spiętrzony, w mgły białe spo-
wity...
W mgle snieżnej śpią ciemne tatrzańskie granity.

TATRY W ZIMIE.

BAŚŃ LUDOWA.

Księżycowego światła magnezyowe fale
Zalały srebrne Tatry i regli kurhany...
Śni Gewont lodowaty, gdyby olbrzym szklany,
O światów czarodziejskich zielonym krysztale....

Gdyby welon pajęczy tatrzańskiej Goplany
Skrzących mrozu kryształków stężałe opale
Przeźroczą mgłą lodową zawisły omdlałe
Nad srebrnymi wirchami... Księżycem zalany,

Świat lodowy lśni, gdyby baśń kuta w krysztale,
Nieprzebrane kopalnie djamentów i ściany
Lśniące srebra szczerego, niełupane wcale

Kilofami dźwięcznymi.. Świat szronem dzierzgany,
Mieniący się tęczowo, w marzenia zapale
W lód i kryształ zakrzepły sen srebrnej Marzany...

XII.

L. STAFF.

NA GÓRACH.

Z CYKLU: RADOŚĆ i SMUTEK
SZCZĘŚCIA I CHWILI.

Na górach jakieś dzieją się dziwy, przedziwy!
W skłębionych chmur bałwanach słońce się
tumani,
Rażącym mieczem światła wżera się w ich
grzywy,
Jak rozkosz upojone szałem ciała rani.
Góry, jak tło miłosnym igrzyskom olbrzymów,
Dla zapamiętań żądzy, ciała przeciw ciału,
Dla upojeń zawrotnych wśród chmur parnych
dymów
W błyskawicach rozkoszy i piorunach szału!

Zębatych turnic niebo ryjące grzebienie
Wołają butą szczytów o orły i gromy.
Płuca przepaści chłoną powietrzne przestrzenie,
Tabun wichrów wypada oddali łakomy
Trupy ech potrzaskanych o szczytów przyłbice
Walą się w dół z głazami zmełtemi w piarg
miału...
Ach, wszerz rozpostrzeć ręce za skłonów granice
W błyskawicach rozkoszy i pioruny szału!

Ach, coby tu się mogło dziać — duszo, na
Boga! —
Na tem tle na nadludzkie boskie widowiska!
Jakaś radość upojona, piękna, jak krew wroga,
Jakieś szczęście, co w przestwór bryłami gwiazd
ciska!
Bić żywem sercem w niebo, jak o dzwon spi-
żowy!...
— A w tobie tak bezradna cisza, chłód kryształu,
Tu, gdziebyś chciała z szczęścia krzyczeć w huk
echowy
W błyskawicach rozkoszy i piorunach szału!

XIII.

W. L. ANCZYC.

TATRY.

Hej, za mną w Tatry, w ziemię czarów
Na strome szczyty gór!
Okiem rozbijem dal obszarów,
Czołami sięgniem chmur.

Ponad przepaści nasza droga,
Odważnie, bracie mój!
Od ludzi dalej — bliżej Boga,
Ha, już jesteśmy — stój!

Patrz, jak w głębinach białą pianą
Potoków kipi war —
Potężną falą, rozhukaną,
W granitach żłobi jar.

I siłą w hale się przerzyna,
W juhasa Boży świat —
Gdzie w szmaragd stroi się dolina
I w różnobarwny kwiat.

Tu znów iglica za iglicą
W niebiosa patrzy się:
Patrz! tam urwiskiem błyskawicą
Kozica trwożnie mknie.

I z bystrej turni nad jeziora
Wieczysty zbiega chłód,
Gdzie się przegląda mnich-potwora
W zwierciadle czarnych wód.

Tam białą wstęgą nurt szeroki
Śle w przepaść głazów złom
I błyskawica drze obłoki,
Po gromie wali grom.

Zda się, że wstrząsa gór posadę
Grom zdwojon echem burz,
Zda się, że niesie nam zagładę
Że koniec świata już.

Lecz burza coraz niżej schodzi
Piorunów słabnie trzask,
Wybiegłe szczyty z chmur powodzi
Oblewa złoty blask.

Gerlach, Łomnica i Lodowy
Nad białe morza chmur
Podnoszą swoje dumne głowy
Króle tatrzańskich gór.

Uczucie wzniosłe, niepojęte
W piersi nie mieści się
I jakieś tchnienie wonne, święte,
W niebiosa serce rwie.

Oddalonemu od trosk ziemi
Zda się, że niebieski próg...
Że stanął między wybranemi,
Że tutaj mieszka — Bóg!

XIV.

JERZY ŻUŁAWSKI.

W NOC NA MORSKIEM OKU.

Lśni pod gwiazdami toń jeziora blada
i gór się widma pławią na głębinie;
w bezkres łódź nasza, jak duch, lekko płynie,
a dusza moja tobie się spowiada —
Spowiada ci się w Tatr ogromnej ciszy,
choć nie wie, czy ją twoja dusza słyszy...

Tak ci się skarży, jako małe dziecię,
z młodości szumnej, która leży w grobie,
z wiar i nadziei straconych — i tobie.
Wyrzuca z cicha, żeś się jej na świecie
dopiero wtedy zjawiła, gdy ona
ma już ze skrzydeł odarte ramiona.

NA MIĘGUSZOWIECKIEJ PRZEŁĘCZY.

Pytasz mię, pani, com widział tam z góry,
z tej wśród obłoków zawrotnej przełęczy?
Widziałem w dole cichych wód lazury,
bezdenne, rąbkiem opasane tęczy,

co wyglądały jako twoje oczy,
gdy łza je — na mnie zwrócone — zamroczy.

Widziałem w dali czarodziejskie niwy,
skąpane w morzu słonecznego złota,
wyglądające jak ów kraj szczęśliwy,
który stworzyła moich snów tęsknota
gdzieś poza życia jawą i żałobą, —
a kędy nigdy ja nie będę z tobą!

A bliżej — czarne, w mgłach przepastne turnie,
takie posępne, jako myśli moje,
co ku błękitom spiętrzają się górnie
i zaś, jak skały w toń, tak w oczy twoje
patrzą — i ani wniebowstępną drogą
wznieść się, ni w głębiach zatonąć nie mogą.

GŁOS Z PRZEPAŚCI.

Ponad przepaścią stanąłem na grani
a Śmierć mówiła do mnie tak z otchłani:

„Nie jestem straszna! Wy życiu wierzycie
a wszakże lepsza jestem ja, niż życie.

Życie was pędzi przez ból i zawody
we mnie kojąca krynica ochłody.

Pójdź tu! krok jeden... To trwa krótką chwilę,
nie bardzo boli. Potem ciszy tyle...

Nie chcesz? Ha, trudno! Jeszcze ci się śmieje
życie — szaleńcze! — jeszcze masz nadzieję?

Więc idź ją stracić. Poznaj, że nie mieści
życie nic w sobie, krom łez i boleści.

Śnij, wierzaj i kochaj! Łudź się jeszcze chwilę,
aż na ostatniej zawyjesz mogile.

A potem wróć tu. Ja jestem cierpliwa,
przyjmę cię zawsze, jako matka tkliwa".

WE MGLE.

Po jasnych upalnych dniach
po krwawej burzy
świat cały utonął w mgłach
i spokój jest jak śmierć głęboki...

Jak sen
minęły góry
i turnie i skalne opoki,
lasów pokrytych ciężką oponą
nie trąca żaden wiew;

starte są nieba lazury
i chmury,
zginęły hale,
w białym tumanie toną
stawów opale
i ogród limbowych drzew,
kędy wśród głazów
przewonne kwitną kwiaty —
przepadły wody, przepadły światy
i niema nic
prócz mgły...
O, ciesz się, duszo moja!

Tamtędy
tą niewidną drogą —
na ten najwyższy wchodziło się szczyt,
nad którym słońce staje w południe,
a tutaj —
w różowy ranny świt
wiodła ścieżyna
po przez manowce
na dziwną, dziwną łąkę,
co się wśród złomisk czarnych rozpina
i karmi owce
białe
przewonnych kwiatów snopami...

O, ciesz się, duszo moja! —
przepadły łąki, przepadły skały

i niema nic —
prócz mgły,
która po upalnych dniach,
po ciemnej burzy
świat pokryła cały...

Już cię nie zwiedzie ten dumny szczyt,
nad którym słońce staje w południe
śnieg rozlśnić biały —
i żarem wędrowca nuży,
i już nie pójdziesz
w różowy ranny świt
na łąki,
gdzie kwitną kwiatów przewonne pęki,
co mrą,
gdy tylko w dłoń je się ujmie...

Wszystko to było!
A może tylko w jaką parną noc
tak ci się śniło:
te szczyty łąki i wody,
te nieba złote i świat ten cały,
kuszący, barwny i młody —
patrz: tuman biały
pokrywa lasy, pokrywa skały
i niema nic,
prócz mgły...

O, ciesz się, duszo moja!

Dokoła
ogromny jest spokój
na ziemi i niebie
(wszak chciałaś takiego spokoju,
co wszystko kryje i wszystko studzi?)
już ciebie
nic nie zachwyca, ani nie woła,
ani nie łudzi, —
w mgłę otulona
i cicha,
jak dziecko u matki łona,
zaśnij i śpij!

Czegóż ty słuchasz? O, duszo moja!

A! — mówisz do mnie:
wśród mgły, wśród mgły,
która po burzy spadła na świat
po jasnych upalnych dniach,
zgubione potoki gdzieś płaczą! —
Nie widne obu kaskady,
choć tuman mgły je otula blady,
jęczą wśród skał
i białe ręce załamując skaczą
na zwał,
oto je usłyszę:
im głębsze zejdą na świat cisze
i gęstszy obłok mgły,
tym głośniej jęk ich brzmi, —

tym żywsza skarga
potoku, który w więzach się targa
i goni kędyś w świat —
a dokąd — nie wiem sam...

I jakże usnąć mam?!

Kłamstwem jest spokój i ten pozór ciszy;
mgła tylko zasnuła me oczy,
ale tam w głębi;
pod gęstą pokrywą mgły
wieczysta walka się toczy,
potok się dębi
pieni się i dyszy
wśród skalnych tam
i ziemia drży
i łoskot głuchy grzmi
wśród mgły... wśród mgły...
I jakże usnąć mam?

O, duszo, duszo moja!

XV.

FELIKS GWIŻDŻ.

Z CYKLU: FALE.

Hej! śwarny ci jo chłopiec,
Hej! taki, co nic nimo,
A ino se ciupazke
W prawej rucce trzymo!..

Hej ni mom nic
Ino wirchy, bystre polany —
Hej ni mom nic
Ino dróge we świat kochany!

Hej! ociec mój!
Dyć świat cały moja dziedzina —
Hej! ociec mój!
Duzo — duzo dołeś lo syna!

Śpiewom se rod,
Wiater śpiewkąm pola zasieje —
Niejeden chłop
Z takiej siejby doś sie naśmieje...
Idem se som
Nic nie wlekem nigdy na sobie —
Bedzie mi lzej,
Kie nareście legnem se w grobie.

Hej! śwarny ci jo chłopiec,
Hej! taki, co nic ni mo,
A ino se ciupazke
W prawej rucce trzymo!

SABAŁOWE WIDZENIE.

Hej! Któż to taki harny, co na gęślickach grajęcy,
Popod turnie se idzie w Matki Boskiej dzień
święty?
Kapelusik strojny w kostki, rżnięte w Orawie.
Zarzucony na bakier... Cuha biała, jak śnieżne
W dzień zimowy ugory, obramiona dokoła
Wstęgą, jak las zieloną — a pod szyją wyszyta,
— Rzekłbyś — w lesne paprocie — — biała cuha
góralska
W pięknym zwisa niełądzie hej! aż po same
kolana!...
W blaskach słońca sie iskrzy przepiękna klamra
złocona,
Spinająca pod szyją w Dunajcu praną koszulę.
Jeszcze hardziej jaśnieją mosiężne, duże guziki,
Które pono zmajstrował kowal Rycerzy Zaśnię-
tych
Drzewiej, w czasach królewskich... w Koście-
skiej Dolinie...
Powybijane na pasie, który mu ściska brzuch,

Jarzą się, iskrzą, błyszczą, jak szkła cudowne
na słońcu.
Parzenice i raki i sznur który znać zdala
(Pewnie we dwadzieścia złożony, bo śtraśnie
bije w me oczy)
Szumnie pysznią się, zdobiąc honorność pięknej
urody...
Hej! coż to za parobek, co na gęślickach grajęcy,
Popod turnie se idzie, jak zbójnik wycyfrowany?

Zje dyć to Jaś Sabała, zje dyć to Sablik z Kościelisk,
Co sie Krzeptowski zowie, co gra, jak Pan
Bóg przykazał.

Hej! gra Sabałów Jaś—hej! mój ty Boze jedyny!..
Hej! gra Sabałów Jaś — a ino w turnie se patrzy,
Bo turnie, bystre granie, spadziste krzesanice,
Bo dzikie, ostre grzbiety i kędzierzawe grzebienie
Rade słuchają grania, rade słuchają muzyki.

Hej! gra Sabałów Jaś — Hej! mój ty Boze
jedyny!..
Hej! gra Sabałów Jaś a ino w lasy spoziera,
Bo ciemne lasy, gąszcze, bo nieprzebyte bory,
W których się kryje zwierz, ponad którymi orły
Królewskie toczą koła, hej! i królewskie loty —
Bo nie przejrzane gęstwie — smreki, jedle, limby

Rade słuchają grania, rade słuchają muzyki,
A nawet wtórzą mu, basują gęślom Janicka.

Hej! gra Sabałów Jaś — hej! gra Krzeptowski
Sablik...

. . . .

A z wirchu, hań! z Giewontu owieczki białe
zgania
Najświętsza Panieneczka i słucha jego grania.
Cała w słonecznych blaskach, w przedziwnych
kwiatków wianku
Za owieczkami idzie i śpiewa o kochanku:
O swym Jezusie Synie, głos puszcza w świat
I tuka se wesoło, aże sie Sablik łzami [żlebami
Zalewa radośnemi... Hej! jak se też to śpiewa
Ta Przenajświętsza Panna — Jak jej to grają
drzewa —
Jakie to ładne śpiewki z ust świętej płyną —
płyną —
I napełniają świat radosną z gwiazd nowiną,
Że Matka Boska idzie Tatrami na Podhale
Spisywać utrapienia i wszystkie, wszystkie żale...
Hej! turlikają owce, migają słońca blaski,
Panienka schodzi z wirchów i niesie ludziom
łaski...
Uboczą idzie skalną, przechodzi nad urwiska,
Z oddali ino świętość od głowy Jej połyska.
Już przeszła w drugą ubocz — i tuka se i śpiewa —

Sabałów Jaś Jej gra — tatrzańskie grają drzewa...

. . . .

Hej! gra Sabałów Jaś — ino se w turnie patrzy —
Hej! gra Sabałów Jaś — ino se w lasy spoziera,
Bo lasy rade wtórzą, bo turnie rade słuchają
I w nich to, nie kaindziej, Najświętsza Panieneczka
Owieczki rada pasie i tuka se wesoło
Do Sabałowej Nuty przepięknie przyśpiewując,
Kiedy se idzie strojny, po pod turnie grajęcy...

W SŁONECZNE RANO.

Tysiącem cudnych barw mienią się szczyty Tatr —
Słoneczne rano... Jaśń zagląda w wszystkie groty...
Na pniaku sięde sam i śnię królewskie loty —
Gdyby tak w Polskę gnać w słoneczne, cudne rano,
Za sobą wiodąc huf Rycerzy, którzy spali —
I zbudzić wszelki duch i zagrać pieśń niegraną...

I wetknąć zbroję w dłoń, dać lśniący miecz ze stali
I opancerzyć pierś! Hej! turnie moje, turnie!
— Gdyby tak jeszcze raz choć jedną chwilę przeżyć górnie!...

SZUM FAL.

W martwocie głuchych nocy łkający bezradnie,
Przykuty do skał twardych szatańską przemocą,
Łańcuchy szarpię — do krwi! — A podemną
na dnie
Jeziorne głębie szumią: Góry cię zdruzgocą!...

A przecież pomnę... Ongi — w przeradosnym
szale
Z otchłannych głębin z niemi rosłem w te zastępy
Potwornych skał-mocarzy... I szumiały fale,
Że nikt nam serc przeczystych nie poszarpie
w strzępy.

A przecież pomnę... Ongi — w hymnie naszych
wiosen
Braterska była nuta i jedno śpiewanie,
Że ludziom przyniesiemy kojącą pieśń sosen
I nierozłączne, dobre, wieczyste kochanie...

O góry moje mocne, Tatry czuwające!
O święte moich brąci — zbójników komory!
Cóż mi to szumią naszych wód głębie płaczące,
Cóż mi to szumią w dali drzemiące jawory?

O Tatry, moje Tatry!...

JABŁONIE.

Z CYKLU: DRZEWA

Mój ojciec sad ma piękny, a w tym pięknym sadzie
Wyrosły mu przeharne i bujne jabłonie,
W których kwieciu słoneczko dzień w dzień
spać się kładzie.

Radosne szczęściem własnem ślą rozkoszne
wonie
Na wszystkie strony świata i do wszystkich ludzi,
I czarują ich serca, ściskają dusz dłonie.

I każdy, kto się pracą owocną utrudzi,
I każdy, który głodny, napoju spragniony,
Głód ich wonią ukoi, pragnienie ostudzi —

Gdyż ojciec cud mi zadał... (niebu wykradziony...)

GRUSZE.

Pogięte, stare ciotki, koszlawe i krzywe
Oślepłe już, bezzębne, w biedniutkiem okryciu
Stoją w ogrodzie smutne, zgrzybiałe i siwe

I mądrze, głuchym szeptem mamroczą o życiu,
Lub szczerze, na głos sobie sny tajemne gwarzą...
Jak babska wracające z jarmarku w upiciu,

Jedna do drugiej cicho, powolutku łażą,
Kiwają konarkami kruchymi, jak próchno,
Podnoszą listki w górę, coś ważnego ważą —

A gdy się człowiek zjawi — drętwieją i głuchną...

XVI.

JÓZEF JEDLICZ.

13*

SŁONECZNA PIEŚŃ:
PÓJDĘ NA CICHE POLA.

Z CYKLU: SNY I TĘSKNOTY

Pójdę na ciche pola, na kwitnące sady,
Gdzie grają w śnie południa złote hymny
pszczelne,
Gdzie źródła młodych marzeń biją nieśmier-
telne
I moich snów dziecięcych czuwa anioł blady...

Pójdę pod białe, słońcem roześmiane chaty,
Gdzie śnią urokiem ziela wybujałe grzędy —
Gdzie święte tajemnicze kwitnienia obrzędy
Mąci szałem radości ptactwa huf skrzydlaty...

Tam w cienistej zaciszy, patrząc w bujne plony,
Z dziadem o siwych włosach, które wiatr mu
pieści,
Siędę — śnieżną rozkoszą kwiecia upojony —

I długich będę słuchał jego opowieści;
W duszy mej barwną rzeszą zjawią się ogromne
Widzenia dawnych czasów... I może zapomnę...

ŚWIETLICA.

Z CYKLU: LEGENDA PÓL

Nim w mroku własnej duszy zapomnę i zasnę,
O smutnych, drogich widmach marzyć nie prze-
stanę.
Skroń mą owiły duchy i wspomnienia jasne,
Lśniące wokół jak zwiewne, blade zwitki lniane...

Duch mój wrócił w świetlicy starej pomrok dymny
I znów płonie w mych oczach watra rubinowa!
Wiatr zakwilił w czeluściach swe żałosne hymny;
Słyszę w ciszy natchnione mrokiem starców
słowa...

Trzęsą skrońmi — swe lata dawne przypomnieli,
Wiek dziwów i obłąkań dawno zapomniany!
Pomarszczone staruszki płaczą przy kądzieli
I tulą siwe głowy do bielonej ściany.

TANTALE.

Widzę was w niemej dali smutków jak we śnie,
Straszną przemocą wieków ujarzmieni króle —
W gorzkim zmierzchu bez skargi wlokący swe
bóle,
Z chmurną dolą na twarzy zamkniętej boleśnie...

Widzę zgiętych ciał waszych tytaniczne sploty,
Gdy chwiejni z twardej ziemi wydzieracie ziarna;
Po waszych karkach pędzi rydwan życia złoty,
Znój wam chłodzi wieczysta macocha — Noc
czarna...

Na niebie swe gwiaździste hymny Wieczność
nuci,
W głębiach Los szepce dziwne, tajemne swe żale;
Wy nie słyszycie, w jarzmo żelazne zakuci,
Hardzi, obłędni w mrokach, shańbieni Tantale!...

O ZMIERZCHU.

O modra chwilo zmierzchu!... O sine niebiosy!...
Samotną ścieżką polną młódź dorodna wraca,
Niosąc na srebrnym sierpie wieniec złotokłosy,
Bo skończona już zbiorów przenajświętsza praca...

Pod stogiem zbóż ostatnim — w mroku przy-
czajona
Siedzi śmierć — starą kosę na kolanach trzyma —
Dłoń kościstą rozpacznie przyciska do łona
I patrzy w szczęście ludzkie błędnemi oczyma...

A zmrok, jak pól żałoba po bróździach się ściele,
Czarne chusty rozwija na każdym zagonie:

Naokół cisza niema, jak w pustym kościele,
W górze księżyc jak bóstwo zapomniane płonie...

JERZYKI.

Smutek bladą zadumą usypia na łanie.
U drzemiącej, w biel smętną otulonej brzozy,
Czai się lęk — za liście szarpnie niespodzianie
I pełznie w mrok pobudzić sine widma grozy...

Po ogrodach jerzyki migotliwą rzeszą
Przelatują, świegocąc swoją dziwną mową;
Do gniazd pod dymne strzechy z hojnym łupem
spieszą,
Wijąc się ponad tonią wstęgą hebanową...

Przyjdzie czas... ptactwo strzechy i gniazda
odleci,
Umrze jabłoń... w ogrodzie zmilkną białe pieśni—
I ja odejdę w mrokach wichru i zamieci,
I wszystko się prześpiewa i wszystko się prześni.

POWRÓT.

A gdy przebrzmi pieśń wichru i ustaną gromy
I czarne pola zalśnią srebrnym blaskiem śniegu,

Duch mój wróci pod wasze strzechy nieznajomy,
Aby w dymnej świetlicy wytchnąć na noclegu...

Siędę — watrą odżyją moje sny tułacze —
I ujrzycie mych marzeń czystych skarb bogaty —
I nikt się nie zaśmieje i nikt nie zapłacze,
Że zgasły szały słońca i powiędły kwiaty...

Niemą ciżbą obsiędziem watrę rubinową,
Bo mrok zaludnią duchów objawienia mgliste —
A ja z dłonią na sercu, z pochyloną głową
Wieścić będę wam cuda i prawdy wieczyste!

XVII.

WŁADYSŁAW ORKAN.

Z TEJ SMUTNEJ ZIEMI.

NA HALI.

Jaki tu ogłuszały martwy spokój! Zda się
Życie morzem spłynęło od mych stóp na wieki
I oniemiało w dole... Wyschły gwarne rzeki
I odleciała pamięć o umarłym czasie.

Siadłem na opuszczonym progu przy szałasie.
W niżach, oczom otwarty, siny kraj daleki —
Bliżej wrąb; wśród białych pniów, niby wśród
pasieki
Stracone jagnię, idąc, samotnie się pasie.

Powoli mrok poczyna wyzierać z uboczy
I okrążając wzgórza, pełza pomalutku,
Poza pniaki przed zorzą zachyla się skrycie —

Patrzące ku mnie śmiercią widzę jego oczy
Widzę owe przepastne, nieme oczy smutku,
W których na dnie otchłannem odbija się życie...

Z GÓR:

JEST KRAJ NIEZNANYCH CUDÓW.

Jest kraj nieznanych cudów,
Gdzie z białych gór
Potoki srebrem płyną,
Doliny śpią,
A tajemnicze źródła leśne
Czyszczą ze szmerem przy świetle księżyca
Połyskujący, złoty piasek.
Smreki w milczeniu stoją, bez oddechów,
Jak straże nocne w przedsieni kościoła,
W którym za mgławą tajemnic osłoną
Bóstwo, nieznane ludziom, spi...

A jedle drżą,
Dygocą lękiem utajonym,
Czy ich nie zdradzi światło białe,
Które na nie pada:
Bowiem sięgają nagiemi ramiony
W głębie rozpadłych, wązkich szczelin
I wyczuwają palcami korzeni
Skryte głęboko pod skałami skarby.
Albo na ziemię kładą się cieniami
I, wstrzymując dech, słuchają,
Co tam w głębi dzwoni...
A to dzwonią owce białe, idące uboczą.

Wełna im się zdala srebrzy
Jak te włosy fal,
Wspinających się w księżycu
Ku urwistym brzegom.

Przeszły ubocz
Już dochodzą pod zamglony wierch...

A małe jagnię ostało,
Nie może nadążyć,
Samo idzie po polanie, zawodzi i płacze
I woła, woła, by go poczekali...

. . . .

Ostatniej owcy grzbiet łysnął za wierchem.

. . . .

W głuchej ciszy słychać jeno ten samotny płacz.

O kraju! O dolino smutku!

. . . .

Tam przy nieznanym drzewie
Ukryty drogi skarb,
O którym nikto nie wie...

Z CYKLU: PO UGORACH.

II.

Po ugorach, wśród zasianych zbożem pól
Ciemność schodzi, jak przed burzą... Zamilkł śpiew

Ptasząt polnych: słychać jeno krzyki „mew“.
Jak się skarżą, odlatując stadem z ról...

A na roli czerwieni się każdy krzew,
Czerwieni się trawka złota“ pośród pól,
Bo gdy na nią spadną rosy — już je ból
Wypotniałych znojem jestestw mieni w krew.

Za chmurami słońce pali. Nowy świt
Nie pokrzepi beznadziejnych, martwych dusz,
Gdy im niesie nowe smutki każdy dzień.

Jeden tylko słychać wszędzie płacz i zgrzyt —
I nocą się rozpościera groźny cień
Po ugorach i po szarych ranach zbóż...

III.

Chłop na łany wyszedł z kosą... istna śmierć!
Istny szkielet, chylący się pośród zbóż...
Stanął... patrzy... kiwa głową: „Któż wie, któż,
Czyli z korca wysianego zbiorę ćwierć...“

Nie usiecze... owies mały... liche źdźbła.“
Prasnął kosą, aże brzękła — rzucił sierp —
„Dał ci Pan Bóg marne życie... a ty cierp!“
Zęby zaciął — na powieki trysła łza...

I potoczył łzawem okiem w ciemną dal:
„Przyjdzie zczeznąć... Ha, no darmo! To i cóż?
O mnie mniejsza, ino dzieci... dzieci żal!“
I do serca pchał się gwałtem czarny lęk —
I poleciał niesłyszany, cichy jęk
Po ugorach i po szarych łanach zbóż...

CZŁEK I DRZEWO.

W skalistej kępie na ugorze
Stoi samotny, suchy smrek —
Dokoła niego skałę orze
Zgarbiony biedą człek...

Ledwo za pługiem wlecze kości,
A musi w skałę owies siać —
I nieraz drzewu pozazdrości,
Że może cicho stać.

PO BURZY.

Jeszcze ostatnia głośna błyskawica,
Potem jęk — odgłos piorunnego młota —
Wreszcie ucichło... Przeszła naremnica,
W oddali jeno dudni i turkota.

Już na zachodzie chmura się przeciera.
Przez okiennicę wązkiego otwora
Niebo błękitem na ziemię wyziera
Tak samo jasne, pogodne jak wczora.

A tu na ziemi lić... Potoki huczą,
Każdem wgłębieniem warczą wały wodne —
Zda się: tę ziemię do znaku spłuczą,
Ostawią jeno skały samorodne.

Zciężałe drzewa ociekają rosą,
Trawy się lżejsze prostują powoli,
A zboża źrałe, jakby ścięte kosą
Leżą pokotem wzdłuż po modrej roli.

Z miedz obalonych sączą się strumienie,
Źródło z każdego bucha kretowiska —
Gdzie okiem rzucić — wszędy spustoszenie
Zatopy mętnych wód i zamuliska.

Na zagon wązki wyszedł chłop od chałup,
Popatrzał wokoło... „Myślałech, że zgarnę
Co z tego pola... a tu wszystko na łup —
Cała ta praca człekowa na marne..."

Stanął bez rady i opuścił ręce,
A w sercu uczuł zwątpiałość bez granic,
Z oczu łzy trysły... „Myślałech poświęcę —
Ale to na nic... wiem, że i to na nic..."

O ZIEMIO!

O ziemio nędzy i zamarzłych kęp!
W łonie twem ognie gorzeją głęboko,
A pierś twa zimną i twardą opoką,
Którą lemieszem targa człowiek-sęp...

Nad tobą codzień białe słońce wschodzi —
Jużby i skały stopił ciągły żar;
A tyś niezmienna z praodwiecznych kar,
Twe ciało ścięte w lód i wiecznie chłodzi...

Nad tobą tarcza księżyca srebrzysta
Co noc zawisa, blada i promienna —
A tyś, jak prawda jakaś przedwieczysta,
Zlodowaciała, zimna i kamienna...

Tysiące karmi twój niewdzięczny plon —
Lecz mowa ich jest nieustannem łkaniem,
Żywot każdego powolnem konaniem,
A życie wszystkich — jeden cichy zgon...

TATRY W NOCY.

I.

Cóż to za wizye grodów, spiętrzonych w otchłań siną?
Cóż to za widma wież, wtopionych w mroczne zielenie?

Olbrzymie białe duchy, mgłą oszronione cienie
Czyliż tak widny sen? Gdy dotknę oczu: zginą...

Na morzu wiotkich śreżog, zda się wyraźnie, płyną
Ku jakimś Portom zmarłym, dalekim nieskończenie,
Gdzie na okręcie pustym ciemne wpływa Milczenie
I jest jedyną tam o ziemi naszej słyną...

Dusza w otchłań wieczności za widmem białym bieży —
By dojrzeć cel — śni go już — zdaje się jej: przeczuwa —
I oto kryje go jawa, która ku niebu się śnieży...

Dusza, dręczona, nie wie: na jawie-li, czy we śnie?...
I z legend, w głaz zastygłych, nowe legendy wysnuwa,
Z baśni o zmarłym świecie nowe rozwija baśnie.

II.

U stropu gwiazd, pod niebem, na śnieżnej miękkiej hali
Dwie postaci leżące w uścisku beznamiętnym,

Dwoje z olbrzymów rodu, w jakiemś zatrwaniu
smętnem —
Jak gdyby czarem dziwnym w wieczność objęci —
spali.

On, rycernej postaci, w zbroi ze srebrnej stali —
Ona, w muślinu szacie, ząbkiem owita mlecz-
nym —
Olbrzymi, cisi, święci, w tem zakochaniu wiecz-
nem,
Zastygli w cud, na drodze do świętych wrót
Walhali.

Widomy księżyc wzniósł się nad śnieżne ich
wezgłowie,
Oświecił twarz dziewicy, bladą, na wieczność
wierną,
I olśnił śpiącą obok niej postać rycerną...

O cudzie! Zbudzenie ich w jednem zamknięte
słowie...
To słowo! — królewska para ta do życia wskrze-
śnie...
Szeptane — gdzie — nie baczę: na jawie-li,
czy we śnie?

XVIII.

LEON RYGIER.

NOC NAD MORSKIEM OKIEM.

Cisza i spokój śmierci... Senna, głucha fala
Przypadła do stóp głazom, co się piętrzą w górę,
I pogrąża się zwolna w swoje sny ponure,
W zadumę, co wraz z mgłami płynie ku niej
zdala...

Cisza i spokój śmierci... Mnich w białym kap-
turze
Szepce swoje odwieczne wieczorne pacierze;
Nawet gwiazdy wschodzące w martwej atmo-
sferze,
Smutne są, jak na kirach rozsypane róże...

Niby gnomy wypełzłe ze skalnej szczeliny,
Kosodrzewin garbatych majaczeją kuszcze...
Szumią świerki i fala z głuchym jękiem pluszcze,
I w otchłań czasu zgasłe spadają godziny...

*
* *

Nad martwych głębią zastygłych fal,
Stoję wsłuchany w ciszę,
I jakiś wielki, bezbrzeżny żal
Do marzeń mię kołysze...

Wiew chłodny niesie żywiczną woń,
Czuwają gwiazdy złote...
I wśród milczenia skarży się toń
Na gorzką swą tęsknotę...

Nad martwą głębią zastygłych fal
Myśl jakaś drży głęboka...
To wieczność wzrokiem, zimnym jak stal,
Z Morskiego patrzy Oka...

Świt... świt!... Zbudzonych orłów skwir
Zamącił głębi pieśń harfianą...
Pierzcha posępnych cieniów kir
I na mistycznych struny lir
Poranek kładzie dłoń różaną...

Świt... świt!... Z jeziora pierzcha mgła...
Na wirchach śnieżne lśnią kryształy...
Na fali róż i złoto drga...
Świt... świt!... Radosny tryumf dnia,
Co idzie jasny i wspaniały...

*
* *

Odchodzę... Wielka przeminęła chwila...
Samotne limby szumią mi po drodze...
Z mgieł się porannych czarny krzyż wychyla...
A ja ku równiom nizinnym odchodzę...

Lecz w duszy mojej na wieki zostanie
Ta noc, przeżyta w mrokach, smutku, trwodze...
Zajrzałem w groźne tajemnic otchłanie
I znów ku równiom nizinnym odchodzę...

XIX.

KAZIMIERZ BARANOWSKI.

KIEDY NAS SMUTEK...

Kiedy nas smutek w nudę zapędzi kawiarni
I kiedy na świat patrzym posępnie i chmurnie,
Zda się nam wtedy, żeśmy, jak góry, mocarni,
Jak dzikie hań przełęcze i wyniosłe turnie.

Halny szaleje wicher w tajemniczej zjawie,
Zbójników się nam widma, dziwne widma jawią,
Tworzym światy przecudne w kawiarni przy kawie,
Światy, które nas smucą i które nas bawią.

Góry, góry, wyśnione w upalnym śnie lata,
Wymodlone w gorączce i spłowiałej nudzie —
Marzy się gdzieś w mej duszy cicha, wiejska chata,
Ukojenie po miasta męczarniach i trudzie.

Hen w dalach (śnię spokojny sen o życiu nowem) —
Rozkwitły dla mnie kwiaty nad skalnem urwiskiem,
Tuli mnie cisza, niby matka dobrem słowem,
Wichru górskiego drogim, braterskim uściskiem.

XX.

KORNEL MAKUSZYŃSKI.

15

NA SZCZYCIE SAMOTNYM.

Tutaj się kończy cichych dusz włóczęga...

Stąd ciska słońce wszystkie tęcze w przepaść
Tu się słoneczny wszelki płaz wylęga,
Tu nie siadają orły, by w dół niepaść,
Gdy błyskawica skrzydła im tu spęta.
Wichr tu płaz marny i tu nie przychodzi.
Tutaj milczenia jest kolebka święta,
I tu jest rafa księżycowych łodzi.
Tutaj jest kościół tych gwiazd, co się włóczą,
I są bezdomne i blade z tęsknoty.
Tu z trwogi grzmoty milkną, co przed tuczą,
Jak psy warczące biegą, gdy je złoty
Bicz archanielski z błyskawicy goni.
Tutaj, gdy słońce stanie w łun pożarze,
Cisza na trwogę rozpaczliwie dzwoni,
Tutaj anioły odbywają straże,
Kiedy jest nocą złota gwiazd ulewa...
Tu noc przychodzi i sinemi usty,
Niema, o słońcu dziwne pieśni śpiewa,
A chmury, czarne na nią kładą chusty,

Mchy się wezgłowiem jej pod głowę kładą,
Aż rano przyjdą zadumane zorze
I martwe oczy jej całują zdradą.

Tutaj się kończy cichych dusz włóczęga...

Tutaj się wszelkie zaczyna przestworze,
I tutaj leży najdziwniejsza księga,
W której są wszystkie tajemnice boże...
A ktoby księgę czytał, ten by wiedział,
Gdzie jest ta miłość, która nie jest męką,
Czemu żywotów jest śmiertelny przedział,
I czemu można mocną burzyć ręką
To, co jest Boże. Czemu wieczność zdradzie
Na twarz całunek Judaszowy kładzie,
I czemu oto Pan żywoty kradnie,
Jak słodki owoc w urodzajnym sadzie,
Kiedy w północy, we mgle snów przychodzi,
Jak wąż, żywotów nienasytny Złodziej...
Czemu, kto księgę czyta, śmiercią zemrze,
Iże po boże tajemnice sięga,
Choć jest tak cichy Bóg, jak zdrój co szemrze,
I choć się Miłość jego zwie potęga!
(A ktoby księgę otwarł — śmiercią zemrze...)

Tutaj się kończy cichych dusz włóczęga...

Tu nie przychodzi owa śmierć, co dzwoni,
I jękiem dzwonów w mózg, jak gad się wwierca,

I bije krzykiem w kość zapadłych skroni.
Tutaj by pękły wszystkich dzwonów serca,
Tu się nam dławi wszelki krzyk na progu,
I w głaz stężały, rzucony oddechem,
Na pierś samemu stoczyłby się Bogu,
Śmiertelnym ciążąc mu na piersi grzechem...

Tutaj się kończy cichych dusz włóczęga,
Tutaj się słońce w wieczny sen położy,
Ostatnich błysków tu się urwie wstęga,
I tu Bóg umrze, gdy śmierć sobie stworzy.

XXI.

HENRYK ZBIERZCHOWSKI.

WICHER HALNY.

Nikt nie zgadnie, jak i kiedy przyszedł na ten
świat,
Czy po nagich krzesanicach z gór na ziemię spadł,
Czy się podniósł z cichych stawów i zmursza-
łych den,
Gdzie na wodnych traw podłożu zmógł go długi
sen —
Czy go zrodził bór, co nocą w czarnych głę-
biach huczy,
Czy ten martwy ugor skalny, gdzie się Rozpacz
włóczy.

Przypadł cicho w trawy śpiące i jak martwy legł,
Objął w uścisk boru mroczny, skamieniały brzeg,
Las drgnął tylko, tak jak człowiek zbudzony ze
snu,
Kilka liści spadło zwolna na podłoże mchu,
Szmer poleciał w górę, w górę ponad mroczną
tonią...
Słychać w ciszy szelest skrzydeł i gwiazdy
gdzieś dzwonią.

I rozbudził tłumnie trawy górskich hal i łąk,
Fala głosów kołysanych rozlewa się w krąg,
Coraz dalej, coraz szerzej płynie szmerów chór
Aż uderza huczną falą o uśpiony bór.
Pochwyciły hasło wiatru smreki, sosny, jodły —
Las i góry wzniosły w niebo przedwieczorne
modły!

A szumże mi, szum, melodyo przebudzonych
drzew!
Chłonę w siebie, niby w muszlę, ten rozgłośny
śpiew,
Jakiś dech rozpiera piersi — hen w gwiaździsty
łan,
Rzucam myśli, dźwięki słowa w rozhukany tan
I pieśń śpiewam taką górną, wielką, niepojętą!
Czuwaj duszo! już się zbliża tajemnicze święto!!

Wicher porwał się, jak wściekły z wąwozów
i traw,
Wzburzył do dna i zamącił śpiący cichy staw,
Rozbił brudną smugę wody o skalisty zrąb
I jak kula wpadł znienacka w ciemną smreków
głąb.
Cicho... cicho... jakieś drganie po drzewach się
włóczy,
Tylko w głębiach coś się kłębi, przewala i huczy!
Wypadł z gąszczy taki mocny, potężny i zły!!
Strącił z włosów rozwichrzonych gałęzie i mchy,

Otarł cielsko o murawę, wyprężył się, wzrósł
I pochwycił w obręcz wirów kępę białych brzóz.
Hej! deszcz liści wątłych, srebrnych z wiatrem
leci... leci...
„Zmiłuj! zmiłuj się nad nami!“ — seplenią jak
dzieci...

Potem wstrząsnął sosny chore, zdarł gałęzi pęk,
W próchnie drzewa wstaje cicho jakiś szklany jęk,
Pręty tłuką się o siebie, szara kora drży,
Nad szczytami płyną chmury, niby czarne mgły...
Drzewa wiją się i jęczą w beznadziejnej walce
I do nieba wyciągają pokurczone palce!!

Duszo! Duszo! skądże w tobie taka wielka moc,
Żeś zbudziła wiatr uśpiony w tę przeklętą noc,
Że się podniósł z cichych stawów i zmurszałych den,
Gdzie na wodnych traw podłożu zmógł go
długi sen,
Że go zrodził bór, co nocą w tajnych głębiach
huczy,
I ten martwy ugor, skalny, gdzie się rozpacz
włóczy.

Hej! grajcie mi moce ziemi, bom wielki, bom Pan!
Cisnę gwiazdy jednym rzutem w rozhukany tan,
Będę pieścił słuch łoskotem spadających brył,
Cały w oczach płomienisty od nadmiaru sił.

I zaśpiewam pieśń ogromną, górną, niepojętą,
Duszo! duszo! wielkie święto, tajemnicze święto!

Nikt nie zgadnie, jak i kiedy zamarł po nim ślad,
Czy na nagie krzesanice umęczony padł,
Czy powrócił do tych stawów i zmurszałych den,
Gdzie na wodnych traw podłożu zmógł go
długi sen,
Czy go wchłonął bór, co nocą w czarnych głę-
biach huczy,
Czy ten martwy ugor skalny, gdzie się rozpacz
włóczy!!

XXII.

STANISŁAW WITKIEWICZ.

„Z TATR.“

OCIEC NĘDZA.[1])

I.

Seł se pan Jezus ze świętym Janem wraz. Malućko namieniało na świtanie, kie sie zabrali iść, a na śródwiecerz słonka jesce nie pośląkowali nika, ani chałupy, ani chłopa. I śli bez takie straśne pustacie, nie jedzęcy i nie pijęcy, lemze wlekąc za sobom obolałe nogi. Juze prawie sie zmirkało, wiater zimny wzion poduchować i descyk przykrapował, juźci umyślili lódz se ka pod wantom, coby ino jako rania dockać. Ale, kaz w takiej ćmie wanty sukać bedzies?

Na ostatek, cosik w tej nocy błysneło, co jakbyś ognia do fajki skrzesał. Jużci pośli za tem światłem i hnetki przyśli ku małej izbecce. Zburzyli do dźwirzy, — cosik wzięno hań z nuka krzypieć, dźwirze sie ozwarły i wyseł ku nim starusecek siwy, taki nicpote, — dziad, ale na gębie miłosierny i takom słodkom miał gware, co aze poweselało w nik serce, kie Boga pokwalił.

No dobrze — weśli. He raty! Kie ten dziadek

---

[1]) Bajka bretońska.

wzion ik po ręcak boćkać, a dziękować, co se o nim zbacyli, co go biedaka starego nie omineli, co mu telo uświadcyli, to aze sie hańbili słuchajęcy.

Juźci ozduchał dziadek karkoski, coby w izbecce było widniej, usadził ik na ławie, przyniósł kraicek moskalicka i gruląt dwoje i kwaśnicy łyske na misecce, i rzece:

— Moiści wy kochani, kieście tacy grzecni, coście me w tej pustce nawiedzili, nie gardźciez mojom strawom. Nie moc ta prawda i mam, ale co mam, to sie tem podzielmy, a coby zaś chybiało, niek ze wam Pan Bóg przycyni.

Nie długo było tego jedzenia. Podzielili się, napili sie wody z rajtoka i ułozył ik dziadek spać, piknie, na swojem łózku. Zagłówka nie miał, ino taki potargany okłacek pod głowe dał, unakrywał starem cuzcyskiem, a sam se lóg pod proge. Ale od radości ni móg usnąć, abo Panu Bogu dziękował, co mu gości nagodził, abo pozierał na ik głowy, co hań na okłacku aze jaśniały od świętości.

Na raniu, wzion dziadek po izbie sukać, cyby ka nie nalazł jakiego jadła dla gości. Juźci nalazł scypte owsianej mąki i klusków uwarzył. Skoro postawali, postawił przed nimi miskę i straśnie sie hańbił, co nic innego nie miał... Cóz bedzies robił, kie bieda!

Zjedli, podziękowali i zabrali sie iść. Juze

prawie mieli próg przestępować, a święty Jan rzece do Pana Jezusa:

— Panie! trzaby zaś temu grzecnemu człecątku jako pomódz — trza go zratować w tej biedzie.

— Zje ba i prawda, rzece pan Jezus i pyta:

— Dziadku, powiedzcie, jako sie nazywacie?

— He! jakoz byk miał sie nazywać, kie me wołajom Wawrzek, a pisujom Nędza. Nik do mnie inacej nie przegada, ino Nędza i Nędza. Kie zaś kce mi ududkować, no to zaś mówi: — Ociec Nędza.

Juźci Pan Jezus rzece: — No, Nędzo, teloście byli dla nas dobrzy i ludzcy, radzibyśmy wam jako odwdzięcyć. Powiedźcie, nie macie ta jakiej chęci ku cemu, jakiego zycenia?

— He! pada Nędza, — nie telo ja głupi cobyk miał zycenia! Kiek był młody, co me jesce zycie nie wybiło, tok nieraz, nie wyctajęcy Panu Bogu, paciorek mówił, a prosił coby mi dał to, lebo tamto, abo zratował. Ale jakok był Nędza — takek i Nędza ostał. Teraz me zyceniami nie przewiedzie nik. Dziękujem, nie wyctajęcy, Panu Bogu za syćko co mam i cego nie mam, ale Mu sie nie naprzykrzam o nic.

Zesmucił sie Pan Jezus, zmilcał na kwile... na ostatek rzece:

— Moi drodzy, ale przecie, powiedźciez,

moze tez Pan Bóg i na was se zbacy i nie ostawi was w tej biedzie.

— O cóz byk sie miał Panu Bogu przypochlebiać? Cheba, wiecie jako: mam ja haw jabłonke, widzicie na oborze, i straśnie pikne jabłka na niej się rodzom, ale cóz z tego, kie im nie dadzom chłopcyska zeźreć. Lemze sie które pocyrwinie do słonka, hnet z całej wsi dzieciska sie zlecom, pierom skalami, lazom na drzewo, gałęzie łamiom, co nie daj Boze, aze całke do ostatka obijom, co mi sie ani jedno nie dostanie. Kiebyście, prosem Ik Miłości, mogli me w tem jako zratować, no to — toby juz było! Dy ja nie zawidzem nikomu i radbyk syćkim tyk jabłek dać, ino me to wej mierzi, co kradnom, a na ostatek i sam radbyk spróbować choć z jedno.

— Dobrze, rzece Pan Jezus, kie sie cosik do jabłoni związe, nie ślezie, pokiel nie podzwolis.

— Moiście wy! dziękujem bardz piknie! Niek Pan Bóg prowadzi, a nie zabacciez tez me wracajęcy!

— Ostańcie z Boge! — i pośli.

II.

Nędza ostał sam i myśli se: — Pockaj, ino

mi ty wliź na jabłoń bedzies ty wiedział jako jabłka smakujom.

Jużci ceka kie tez te jabłka zeżrejom. Przyseł Wrzesień, słonko piknie zenie, owies zeżrał, ludzie kosom, — jabłka kie malowane, cyrwieniom sie w liściak, jaze sie w ocak mieni.

Jednego dnia, na raniu, Nędza wyziera bez okienko z izbecki, a tu ku jabłoni skrada sie chłopcysko ze skalom w garzści. Przyznał sie do niego Nędza wraz, — ba jakoz by sie nie miał przyznać, kie to był Gackulin wnęk Stasek, najgorse chłopcysko w całej wsi.

No, dobrze. Beu! skałom w jabłoń — przeleciała! Nędza jaze dek w sobie zataił, ani pary z gęby nie śmie puścić, ino sie cai za okne, jak kot na mysy... Beu! drugi raz — nic! Hybaj! na gałąź. Mój Nędza wypadł na obore. Zlękło sie chłopcysko — kce uciekać, a tu przywarło go do pnia, co sie z miejsca nie moze rusyć... Raty! ludzie na świecie! Sarpie sie w tyk gałęziak, jak kwical w sidłak — a jabłoń nie pusca. Ozdarł kufe i w bek!

A Nędza rzece: — Tak? bedzies ty mi jabłka kradł staremu dziadkowi? Nie puscem cie z tela do końca świata! Bedzies warował przy tyk jabłkak i drugik ucył, coby kraść nie śli. Cóześ tak kufe ozdarł? Kciałeś jabłek dy je mas — sameś wlaz, sprobuj se sam zleść!

Chłopcysko sie dre... pozlatowały sie baby i dzieciska:

— Co tu sie robi?

— A tak i tak! Jabłka mi krad, a me Pan Jezus wydał takie prawo i takom władę, co, kie zekcem, do końca świata hań na gałęzi siedzieć bedzie.

Nie kciał temu nik wiary dać. Jużci przyleci i Gackula: — Stasek! woła, psia kość zatranona, słaź mi tu hnet!

Ka ta Stasek! dre sie na gałęzi a sleźć nie moze — ani w te strone, ani w te.

Toz to wzieny baby Nędze prosić, coby sie zlutował, coby juz puścił, wzieny przysięgać za syćkie dzieciska, co zadne jego jabłek nie tknie.

— No dobrze. Kie tak, śliz ze Stasek i hybaj w dóm. A pamiętaj chłopie, cobyś mi jabłek nie tępił, bo kie mi sie ty, lebo który w gałęziak zaplące, nie puscem — przy sam Bogu, nie puscem, choćbyś hań miał skapieć.

Jużci Stasek ślaz i hybaj dó domu, ozesły sie baby i dzieciska. — Nędza ostał sam i zbanował se. Luto mu było i Staska i tyk dziecisków, — ale nie pedział nic. Ceka kie jabłka zeżrejom. Kie juz były godnie źrałe, — ale to były grzecne jabłka, wielgie jak pięść, po jednej stronie takie cyrwieniate, po drugiej zółte, a słodkie, jak miód, — juzci zebrał je Nędza piknie i do izbecki zniósł. Zapakło od nik po

oborze tak, co aze cliwo za jabłke było, kieś mimo seł. Baby i dzieciska ino sie obzierały na Nędzową chałupinę.

I dobrze, nabrał Nędza jabłek w kosałke, idzie bez wieś i daje ludziom, babom, — napirwy Staskowi. Ale! on ta i zydowi dał, a i cyganom, kie go cały kierdel na drodze zastąpił, — bo to była straśnie miłosierna chłopina.

Toz to zesło jedno i drugie lato, jabłka sie rodzom, co nie tak ale, — a Nędza jako Nędza: był dziad i dziade ostał. Telo ino miał hasnu, co sie z tyk jabłek uradował, a ludziom ozdał.

III.

Jednej jesieni zesłabło chłopiątko. Wziena go drzeć krzypota, juźci lezy se w izbecce, a bez okienko widzi jabłka, co hań kie świecki gorejom z pomiędzy liści. I tak se myśli: — Zjadłbyk z jedno, coby mi sie gościec nie doprociwił, alek słaby.

Lemze se tak pomyślał, juźci słysy, cosik sie dźwirzy łapiło i otwiera...

...Ino malućko wyjrzało, Nędza hnet wiedział, co to Śmierzć.

— Tuześ! myśli se.

— Niek bedzie pokwalony.

— Niekze bedzie. I cóz ta powies?

— Zje ta i powiem nie wiele, ale moze

przegadamy ze dwa słowa. Wis chłopie, juz na cie cas. Dosyceś na tym świecie pozył — hybaj na tamten, cobyś poźrał cy hań co ciekawego nimas.

— He! rzece Nędza, nie taki ja ciekawy tamtego świata. Abo mi tu źle? Ludzie me za co majom, — dudek sie ta, po prawdzie, u mie nie zwysy, ale co mi ta dudek płaci! Kiek rad co zyjem, kie me świat ciesy, ludzi rad widzem, dobrze mi, ślebodno i wesoło. Nie pilno mi z tela.

— He, bracie! Cy ci ta pilno — cy ni, moje prawo takie, co cie musem Panu Bogu odprowadzić, bo na cie ceka.

— Zje co mi ty śklis! Grześnik Panu Bogu, nie cudny, a i dziad ni. Nie bedzie mu za mnom cliwo, choćby me i sto roków dłuzej nie widział.

Ozezłuła sie śmierzć: — Cóz mi sie ty dziadu bedzies prociwił. Królowie me słuchajom, co im dwa razy jednego nie gadam, a tu mi taki stary grzyb kce przewodzić!

— Cóześ sie tak ospajedła! Dy mi na ostatek, telo płaci tu zyć, jako i tam. Ka bedem, to bedem, nie bedzie mi cliwo, bo nie bedem sam, ba bedzie nas więcej.

— A najwięcej u dyabła w sopie! wrzescy śmierzć ze złości.

— I co sie ja go mam bać! Abo Bóg Przenaświętsy za mnie na krzyzu nie umarł? Stras baby dyabłe nie mnie.

Juźci widzi śmierzć, co go pyske nie przesili, — mówi po dobroci:

— Wiecie ociec, ja by i sama rada was ostawić, ale cóz robiła bedem, kie je taka wola Boska.

— Ha! kie wola Boska, to co innego. Pański oskaz — chłopska słuzba, ja sie woli Boskiej nie sprociwim. Hnet ja ci sie tu wyzbierem, ino wies, jako ci powiem: wis, hań na oborze, jakie jabłka pikne, źrałe, radbyk z jedno zjeść, bo mi zaś hań takik nie dacie, alek słaby. Kie mas wolom i cas, wliź na jabłoń, a przynieś i mnie i sobie.

— Dobrze, pada śmierzć ledwo rada, krztyne casu mam! — i posła ku drzewu. Skoro wlazła, mój Nędza, choć i słaby, hybaj za niom — i woła:

— Wlazłaś? No to se hań odpocnij, boś sie prawie domęcyła tak światami goniąc a lud kosąc. Jabłka ci paknom? Co? Psia kość zatracona! Bedzies ty tam siedzieć do dnia sądnego. He! śmiertecko, nie pozałuje cie nik. Cheba notareus po tobie zbanuje, co mu sie dostamentów pisać nie dostanie. Niekze! niekze! Ja ta po tobi płakać nie bedem. He! jak to ci tam dobrze na tej gałęzi! Siednij, se na kwile, zakiel na Sąd ostatecny nie zagrajom. Siednij, niekze i świat przez tobi odpocnie.

A Śmierzć tardze się hań, kie niedźwiedź w oklepcu i dre sie: — Bój sie Boga, cłeku,

nie gub ty me do ostatka! Dy ja z Boskiego oskazu musem iść. Nie mieskaj me, nie despetuj, bo mi juz dawno cas do roboty.

— Kiebyś z dobremi rzecami sła, puściłbyk cie hnet, rzece Nędza. — Aleś ty, jako ryś, ino patrzys ka ludziom do gardła skocyć. Ka sie ty powinies, ino płac, lament a sieroty. Dość tego — nie pódzies z tela!

— Cyś ty sie dziadu wściók, co sie Boskiemu prawu prociwis? Cóz ty sie twoim głupim rozume bieres światе rządzić? Co ty nie wies, co kie je pocątek — musi być i koniec, kie sie rodził — musis umierać!

— No, kie syćkiemu je koniec, to i na cie przyseł. Siedź cicho, nie drej sie, bo cie i tak nie puscem.

— Puść! nie bede ja, przyńdzie inna. Dla jednego Nędze Bóg świata nie odmieni. Wis, słonko sie na odwiecerz chyli, a ty me tu trzymies. Śmierzci nie ujdzies, bo ci pisana, jako i każdziućkiemu stworzeniu, jako i calućkiemu światu, ino me do kłopotu, do biedy przywiedzies i Pana Boga na sie ozgniewas. Puść!

— Ha! rzece Nędza — wola Tego, co świat Jego. Mam umrzeć tak, cy siak, niekze choć na kwile pozyjem. Kiebyk cie puścił, hnet byś me tu zadźgała, racej pockam, zakiel inne pachołke po mnie odkazom.

Zmilcała Śmierzć na kwile, ozmyśluje... Na

ostatek rzece: — Wies Ociec, wydajmy se takie prawo: ty me puścis a ja cie na świecie ostawiem, pokiel ostatniego człowieka nie zabierem. Puść!

Nie uwierzył odrazu Nędza.

— Ale! Ty byś me tu ostawiła! Człowiekowi nie kazdemu mam wierzyć, — a tu dopiero takiej stworze, co cie djasi... Ani nie bedem klął, ale kaz cie z twojem prawem bede sukał — kie juz bedem tam?

Ozwściekliła sie Śmierzć.

— I co mi ty kosałki, opałki — kapce, rękawice bedzies pleść! Jako ci powiem — tak i wykonam. Choć ta Śmierzć ino Boski pachołek, ale proci ciebie dziadu — Wójt! Ty mi sie nie prociw! Uwazuj, cobyś zakiel słonko siednie, nie lezał w truchle — grześniku!

Zląkł sie Nędza.

Myśli se: — Cóz ja ci tu bedem robił?...

Uchylił sie poza dźwirze i rzece: — No to se idź!

Ludzie na świecie! Kie sie Śmierzć pomkła w świat, to sie ino za niom kurzyło!

A Nędza ostał i do dnia sądnego świata nie popuści.

XXIII.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

Z RAPSODU: „BOLESŁAW ŚMIAŁY.“

XC.

Byłem na górach wdechałem szeroko
do pełnych piersi powietrze to halne;
tu zapomniałem był, żem krwi posoką
obryzgał ołtarz tam i sługi mszalne;
tutaj widnokrąg daleką roztoką
wierchów, — te na nich wichry borealne, —
leczył, — tu nawet śmierć mojego syna...
Już jakby przepadł był głos, co przeklina.

XCI.

Więc przebiegałem wszerz skalne wierzchnice,
a za mną ostry wiatr ten halny, dując;
groty przetrząsłem górskie, grot piwnice,
różne domysły z onej klechdy snując;
na wszystkie Tatrów wdarłem się turnice,
rycerzy onych śpiących upatrując. —
Jako jest długi w łańcuchu skał szaniec,
nigdzie i nigdzie od krańca po kraniec.

. . . .

XCIV.

. . . .

Naraz ujrzałem wojsko, jak w błękitach,
słońcem czerwonem oblane po szczytach

XCV.

Konni, w rynsztunkach ciężkich, jak skorupach,
jak był daleki widok skalnych złomów,
w tych zorzach wszyscy, jak na zwalisk kupach,
na górach, niby rujnach zamków, domów...
Olbrzymy, — całe nie duchy wklęte w trupach;
dziw, co dał powód do baśni i pomów;
jakby po skałach w słonecznej czerwieni
żywa płynęła krew siecią strumieni.

XCVI.

W ciężarach tarcz i zbroic mchów zielonych,
dzierżący miecze szczerbione i rdzawe,
przed się godzili w ruchach zamierzonych,
goniący złudną w wichrach lotną Sławę,
że kiedym patrzył zdumiały po onych
rycerzach, — jako łzy im ciekły krwawe
z lic, w złotem słońcu tem, co ciska zorze,
uczułem jako gnają gdzieś w przestworze...

XCVII.

Już niewidzący granic dla swych pędów,
że już ich oczy sięgły w przepaść ducha,

kędy dojrzały własnych dzieł — obłędów,
nierozerwalny ciąg widząc łańcucha,
którym przykuci do siodeł i rzędów
jeźdźce, — rozpędni, gdy już duch nie słucha
ręki, — że ręka pół-ruchu zmartwiała...
Takich na wieczny sen pojęna skała.

XCVIII.

A ponad nimi, nad igłami
ogniste ptaki w zorzach płyną
wielkimi skrzydeł zawrotami
nad tą olbrzymów zbieraniną, —
znów moje orły, — przelotami
krążąc nad hełmy, skrzydła zwiną
i przysiadają im na głowach,
jakby z tym skalnym ludem w zmowach.

XCIX.

I oczym wodził po tych widowiskach,
a myśl za nimi puszczona szalała,
jak, zawieszone w pęd, stały w urwiskach,
że zda się zdolna do wyskoku skała,
aż zrozumiałem... jaka w tych zjawiskach
wielka myśl oczom się postaciowała:
ci są rycerze śpiący, co w pół ruchu,
w polocie jeszcze cielskiem, spali w duchu.

C.

Śpiący rycerze, to ci, co bezczynni
ci, co gnuśnieją za domem, czy doma;
ci, co jakiemiś już dziełami słynni,
już syci sławy i już ich oskoma
nie unosi, — ci po wszystkie czasy winni,
leniwe duchy, których śmiałość chroma,
których przeklęły losy, dawszy wieńce
i którzy są we wiechach — więzach jeńce.

CI.

Uciekać! w pędy! gonić! to śmierć Ducha!
To Ducha śmierć, te wieńce, chwalba miła.
. . . .

CII.

Lecimy, pędzą, — ja błądzę, — granity
stanęły poprzek drogi wielką ścianą,
a kryte mgłą wieczoru, aż dziryty
iskrzyły się o ścianę zarysowaną...
Bliska noc, — padół cały w mgły spowity,
chłód, — czekać tu aż błyśnie rano,
do kamieni tych zimnych przyparci
rycerze błędni, szaleńcy czy czarci.

CIII.

O moich ludzi mało co troskliwy,
z myślami w ciągłej niezgodzie, szaleniec,

przespałem noc na siodle niecierpliwy
świtania, które chmur rozedrze wieniec
i przełęcz jaką odkryje, — a dziwy
naszły mię w moim śnie: żem jest odmieniec,
że odsuwają się skalne wierzeje
i że mój orszak w tym śnie kamienieje.

CIV.

I śniłem, że jest świt, lecz we mgłach biały
a może to już nie był sen, lecz jawa;
na zbrojach perły rosy szklące drżały;
a nie ruchoma orszaku postawa, —
mój, więc na niewczas był i ból wytrwały,
bo nie od dziś nam Dola niełaskawa.
Był dzień, lecz cały dzień deszcze ulewne
po skałach i po naszych zbrojach grały rzewne.

CV.

A ponad nami z tych szczytnych krzesanic,
niby wodnica jakaś włosy czesząc,
wodospad, — w przepaść! czy bezdno! — bez
granic!
grzmiał w dół, okrutną siłą spiesząc
i milkł... tylko szum słyszę urwanic,
gdy lecą mimo, — więc przepaść podemną!
więc mię tu więzi ktoś mocą tajemną!

CVI.

„Sam tu! Giermak! Haj"! — ci dalej bez ruchu —
„Sam tu!" — a tylko deszcz po stali pluszcze...
Spowici w siniejącym mgły podmuchu,
gdzie się siklawa rozbija o kuszcze
kosych drzew, — „Sam tu co duchu"!!
a tylko głos odlata w puszcze;
małe się w gęstwie mgły rozchyla okno,
przez nie gdzieś w dole las, — ludziska mokną.

CVII.

Kto nas tu zagnał?! jakeśmy się wspięli?!
po tych krzesanych ścianach w takie turnie!
Czarci nas nieśli, czy w skrzydłach anieli,
aż gęstwą przesłonili świat pochmurnie,
nas porzuciwszy w potoków topieli,
które się przez nas w przepaść lały górnie.
— Co raz już — pierzchły z pod mych stóp
opary,
deszcz cichł, — a oni wciąż milczące mary.

CVIII.

Szedł zmierzch, zapadła Noc w tym półszczycie
wiszących, — coraz się widzę samotny, —
a oni dla mnie ścielą się w błękicie,
jak widma: padoł pod nimi zawrotny,
nieruchomi, jak głazy, jakby w nich już życie...

— Czar! — może jaki nas spętał sromotny;
czuję już, że i mój koń wrasta w ziemię
i że mi senność klei oczy — gnie mię.

CIX.

Przecież się zrywam, potrząsam i żywo
dobyć mieczyska, zamierzony ręką,
tej chwili w ręku zastygłe ogniwo
czuję, przyłbica spada na twarz szczęką
żelazną, — żem więziony niemocą straszliwą,
jak głaz, — a tem okrutną męką,
że tak w pół-ruchu, miecz poły — wyjęty,
chwycony w kleszcze i w larwę zaklęty.

CX.

I już wchodzące Słońce po tej nocy
ujrzało mnie kamieniem, głazem, skałą
— — a jeszcze mi ostała myśl w niemocy...
— i widzę jak promienie ku mnie słało...
że prawdę gwarzą ludowi prorocy,
to z przeznaczenia mię losów spotkało,
ten zapęd mój w posążnym głazie zmrożon
i archanielski Sąd nademną grożon:

CXI.

„Ty będziesz wieczność całą w tym zapędzie
zawieszon, z mieczem gotowym do cięcia,

ty Śmiały, coś mordował boskie sędzie,
gdy cię kościelne druzgotały klęcia;
Sądu i miecza wstrzymane orędzie,
aż cię powoła róg do wniebowzięcia:
na Sąd twój biskup dla cię zmógł cmentarze,
Jemuż Sąd Boga przeżegnać cię każe.

XXIV.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

Z TATR.

WIDOK ZE ŚWINNICY DO DOLINY WIERCHCICHEJ.

Taki tam spokój... Na gór zbocza
Światło się zlewa mgła przeźrocza,
Na senną zieleń gór

Szumiący zdala wśród kamieni,
W słońcu się potok skrzy i mieni
W srebrno-tęczowy sznur.

Ciemno-zielony w mgle złocistej
Wśród ciszy drzemie uroczystej
Głuchy smrekowy las.

Na jasnych bujnych traw pościeli,
Pod słońce się gdzieniegdzie bieli
W zieleni martwy głaz.

O ścianie nagiej, szarej, stromej
Spiętrzone wkoło skał rozłomy
W świetlnych zasnęły mgłach.

Ponad doliną się rozwiesza
Srebrzysto-turkusowa cisza
Nieba w słonecznych skrach.

Patrzę ze szczytu w dół: podemną
Przepaść rozwarła paszczę ciemną —
Patrzę w dolinę, w dal!

I jakaś dziwna mnie pochwyca
Bez brzegu i bez dna tęsknica
Niewysłowiony żal...

POD RYSAMI.

Ciemno. W powietrzu wilgoć. W Rysach potok huczy,
staw uderza o brzegi, bulkota i pluszcze;
wiatr błądzi przez nadwodne, puste, głuche puszcze
i gwiżdżąc po upłazach i turniach się włóczy.

W ciemni blask czasem zalśni metaliczny, kruczy
na wodzie, którą lekki wiatr marszczy i muszcze;
zaczernią się na brzegu kosodrzewu kuszcze,
lub skała się w cień blady, posępny obłóczy.

Ciemno — — w tem gdzieś w przepastnej nieprzejrzanej dali

zabłysło — — czy to spadła na brzegi odmętu
gwiazda o promienistym blasku dyamentu?

Już błysła druga, trzecia, już dziesięć się pali — —
rzekłbyś, że się gwiazdami podnóże gór złoci — —
a księżyc wyszedł mgławo w powietrznej wilgoci.

W KOŚCIELISKACH W NOCY.

I.

Cisza. Noc. Na zaćmioną dolinę Kościelisk
idą z gór lasem zrosłych, z upłazów i jarów
tajemnicze milczenia w mgławicach oparów
wznoszących się po cichu z wodnych oparzelisk.

Głucho warczą strumienie po głazach swych
ścielisk,
las śpi. Na nieruchomą czarną toń konarów
padł, wschodząc przez wyrwany wśród wapieni
parów,
miesięcznego przedświatła srebrzysty obelisk.

Fosforyczną białością powlekły się ściany
nagich, skrzesanych turni; wielka cieniu rzeka
ogarnia je i niesie w mroku oceany.

Wszedł księżyc: na wierzchołku zaczepił się
smreka,
rozdarł się na olbrzymich dwóch gwiazd bły-
skawice
i kiście świetlnych kolców wbił w nieba ciemnicę.

II.

Jaka cisza! Jak dziwnie wyglądają drzewa — —
jaki dziwny szum wody — — coś, co niepokoi,
snuje się po dolinie, wśród gęstwin się roi — —
lęk ciche mgły swych skrzydeł w powietrzu
rozwiewa...

Jakie dziwne niewidny księżyc światło zlewa — —
jaki dziwny, posępny, wielki cień tam stoi —
zda się, widmo u groty głębokich podwoi
jak dziwnych głosów echo skądś wśród gór
pobrzmiewa...

Zda się, że coś zawodzi, skowyczy i płacze —
Cicho!... Jaki dreszcz szybko przemknął się
gęstwiną —
gdzieś w lesie zajęczały ponuro puhacze...

Tu mogiła pod stosem chrustu i smreczyną —
Zwierzę jakieś ze stosu w ciemną gęstwę ska-
cze —
jaki dziwny czar idzie Kościelisk doliną...

Z KASPROWSKIEGO WIERCHU.

Bronzowo-złotym liściem błyszczą się skorusze
głęboko w zagęstwionej Wierchcichej dolinie;
w koło gładkich uboczy olbrzymie pustynie,
okryte przez pożółkło-złotej trawy plusze.

Wiatr. Huczą zamgławione nad wierchami głusze,
słońce ma blask ołowiu — — w tem z południa płynie
biały, podarty obłok — rozwiał w chmur głębinie
olśniewających blasków pełne pióropusze.

W śnieżno - modro - ognistych barw fosfor się mieni,
pali się na powietrzu i jak szmat płomieni
wznosi się i zawiera wśród otchłani mglistej.

A od północy błękit kryształno-przejrzysty,
cud błękitu! w mgieł wpłynął sine fiolety
i objął w blask dalekich gór złociste grzbiety.

MELODYA MGIEŁ NOCNYCH.

(NAD CZARNYM STAWEM GĄSIENICOWYM).

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...

Okręcajmy się wstęgą naokoło księżyca,
Co nam ciała przeźrocze tęczą blasków nasyca
I wchłaniajmy potoków szmer, co toną w jeziorze,
I limb szumy powiewne i w smrekowym szept borze;
Pijmy kwiatów woń rzeźwą, co na zboczach gór kwitną,
Dźwięczne, barwne i wonne, w głąb zlatujmy błękitną.
Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Oto gwiazdę co spada, lećmy chwycić w ramiona
Lećmy, lećmy ją żegnać, zanim spadnie i skona;
Puchem z mlecza się bawmy i ćmy błoną przeźroczą
I sów pierzem puszystem, co w powietrzu krąg toczą.
Nietoperza ścigajmy, co pocichu tak leci,
Jak my same, i wnikłe oplątajmy go sieci.
Z szczytu na szczyt przerzućmy się, jak mosty wiszące
Gwiazd promienie przybiją do skał mostów tych końce,
A wiatr na nich na chwilę uciszony odpocznie
Nim je zerwie i w pląsy znów pogoni nas skoczne,

Z „FANTAZYI LIRYCZNEJ.“

PORANNE BIAŁE...

Poranne białe płyną mgły
pod Beskid modrosiny;
nad Granatami słońce się lśni
przez srebrne pajęczyny.

W kotlinie, nizko, schodzi cień
z ciemnych jeziorek głuszy;
blady, jesienny powstaje dzień
i ranną rosę prószy.

Na hali deski pustych strzech
zdaleka lśnią do słońca;
dokoła trawa, kamień i mech,
pustka, jak grób, milcząca.

Z poza przełęczy lecą mgły,
z szumem się w górze mącą
i zapadają, jak ludzkie sny,
w przepaść, jak grób milczącą.

W PUSTCE.

Ciche leżą kamienie pod skał ciemnym murem.
Noc—wśród żlebu się świeci wązki smug księżyca,

jak ogromna, stężała w locie błyskawica,
zamarznięta na skale w pustkowiu ponurem.

Cicho... W złomach jezioro czarne i zlodniałe;
taka głusza, że słychać szelest kropel z śniegu
sączących się w toń wodną po kamieniach
z brzegu;
śnieg pokrył ciemnym płatem ochmurzoną skałę.

Chmury się dotykają prawie mego czoła;
zimne, oślizgłe głazy ręce moje ziębią...
Nad jeziora lodową, przepaścistą głębią
zasłuchałem się w przestrzeń... Idźmy... „Nikt
nie woła...“

CIEMNOSMRECZYŃSKI STAW.

W kotlinie, wśród kamieni
i pordzewiałych traw,
w posępny blask się mieni
ciemny i cichy staw.

Nad nim się piętrzą zwały
nagich, skrzesanych ścian,
mech pnie się osiwiały
i kosodrzewu łan.

Niezmierna martwa głusza
zaległa skał tych kąt;
przeciągła pieśń pastusza
nigdy nie zabrzmi stąd.

Czasem się wiatr w kotlinie
z skalnych przetacza wrót,
po kosodrzewie płynie
i mąci ciszę wód.

czasem się złom rozkrusza
od ryku wściekłych burz —
zresztą niezmierna głusza,
martwota pustych mórz.

Gdym się raz patrzał z góry,
błądząc po wierchach sam,
w kotliny głąb ponurej:
ujrzałem marę tam.

Z dłońmi załamanemi
u skalnych legła stóp
i kryła twarz ku ziemi,
smutna, jak śmierć i grób.

Nie wiem, czy w to bezdroże
upiory schodzą śnić?
Czy czyja dusza może
swój ból tu przyszła skryć?...

„Z TATR.“ W BIAŁEM.

Po cichych smrekach o ciemnej zieleni
kładło się słońce złotemi plamami;
pogodny błękit wisiał ponad nami
pełen przymglonych słonecznych odcieni.

W głębi wąwozu po zrębach kamieni
spieniony potok huczał kaskadami;
czasem ktoś krzyknął — echo głosu mami,
jakby z niezmiernych leciało przestrzeni.

Czasem błądzącej trzody po uboczy
spiżowe dzwonki dźwięczały w przeźroczy;
czasem wiatr drzewa szumiące kołysze;

a czasem było tak cicho i błogo,
jak gdyby szczęście idąc pustą drogą,
tu w te bezludne wstąpiło zacisze.

PRZY MORSKIEM OKU.

Ty martwa wodo wśród nocnej ciemnoty!
jak ja ci twojej zazdroszczę martwoty!
Gdyby te wszystkie góry do twej fali
razem runęły: jeszcze ciężar ich
byłby mniej straszny, niż ten co się wali
na pierś człowieczą ciężar przeczuć złych.

Huczą nad tobą burze, martwa wodo,
płomienną strzałą gromy toń twą bodą,
ale najdziksza górska nawałnica
tak nie zatarga twoich głuchych fal,
jak duszę targa daremna tęsknica
i żal bezbrzeżny, beznadziejny żal.

Ku głębiom twoim, martwa wodo, ścieka
wiecznie szumiąca z urwisk stromych rzeka;
nigdy się szum ten posępny nie zgłuszy,
nigdy, aż zwali się granitu zrąb — —
tak wiecznie szumi smutek w mojej duszy
pełnemi płynąc nurtami w jej głąb.

BURZA.

Nad Gerlachem zawisnął kłąb czarny, olbrzymi
zawichrzonych obłoków, raz wraz ogniem pryska,
grzmotu huk się roztrąca o skalne zamczyska,
waląc się złom odbity skry krzesze i dymi!

Wzdymaj się nawałnico! Jak na morzu wzdętem
łódź wiruje: tak moja myśl wiruje w tobie,
leci z twemi ptakami o płomiennym dzióbie
upaja się do szału ogniem i zamętem.

Wzdymaj się nawałnico!... Druzgocz twarde
złomy

wywracaj lasy, jezior pruj głębokie tonie,
pędź zniszczenia i śmierci straszliwy demonie,
pędź duchu wśród błyskawic jaskrawych wi-
domy!

Wzdymaj się nawalnico!... Łeb swój pochyl turzy
uderz w ziemię, aż jęknie; ślepiami krwawemi
nieć pożary, aż ogień buchnie po wszechziemi,
aż spopieleje cała!... Pędź demonie burzy!

Przegnała nawałnica... Wzrok rzuciłem na dół,
myśląc, że światło obaczę odmłodzony, świeży —
kilka drzew zdruzgotanych w mętnej wodzie
leży,
lecz nie zmienił się w niczem smutny ziemski
padół.

Z CYKLU:
PODCZAS WIATRU Z TATR.

Kocham cię, wietrze górski i zawsze kochałem!
tyś mi wzniósł wzrok na Światło, na Przestrzeń i Ciszę,
na tę cudowną trójcę! Ty niegdyś nad wody
dunajcowe lecący, mojej duszy młodej
nigdy już nieodstępne dałeś towarzysze:
nieujęte uczucia, wrażenia gwałtowne,
z których zachwyt i dziwny jakiś zryw wybucha
jakieś poznanie takiej duchowej swobody,
że się z tego religia własna rodzi z ducha
własna przez tęsknoty, przez sny niewymowne...

* * *

Kocham cię, ty natury naciągnięta struno,
na której gra Ruch, Wszechbyt, Czas i przestrzeń wieczna;
kocham cię, rozwahana łodzi podsłoneczna
kocham cię i te wszystkie bóle i tęsknoty,
które przez wieki wieków w fale twoje runą!

I wszystkie te westchnienia, chęci i porywy!
i wszystkie te marzenia, żale i nadzieje,
i wszystkie te gonitwy i wszystkie te wzloty,
i cały żądz i pragnień orszak złotogrzywy,
które z siebie pierś ludzka w twój tuman wyleje!

Kocham cię — ty nademną, kiedy szumisz falą,
ileż niesiesz dusz ludzkich! Ileż w tobie leci,
żywotów i sił ludzkich i ile stuleci
tęsknot, co się nad światem piętrzą tak, jak góry!

Z CYKLU: „W TATRACH.“

SERYA V.

Tam, w moim kącie ziemi, kwitną teraz kwiaty,
kwitną kwiaty wiosenne, młode, bujne, świeże,
las jasne słońce z nieba w głębie swoją bierze
i szumi — (szumem pieśni, jak anioł skrzydlaty!

Las drogi, święty, ciemny... Gdy się dźwiga
z rana
nad polaną mgła wschodnia śnieżysto-różana;
jelenie we mgle stając wznoszą w górę głowy
i ogromne poroża, oszronione rosą,
i senne świetlne głowy na polanę niosą
z lasu, gdzie szumi święty, wonny hymn wschodowy.

Święta przeczysta Pustka, we mgłach kołysana,
rozpościera ramiona, błogosławiąc ziemi,
a kwiaty wiosny pachną i liśćmi białemi
świecą na trawie, jako na głębinie piana.

Święta, przeczysta Pustka, w której się kolebie
co jest najszlachetniejsze na ziemi i niebie!
Piękno w całym swym czarze i całej potędze —
Ono, które być może dla duszy człowieka
wiarą, miłością, szczęściem, a jak Chrystus, czeka,
by szedł ku niemu przez brud swój, przez ból
swój, przez nędze.

Ono, które nań czeka, ciche i cierpliwe,
wierne i niezawodne... I oto ów mrący,
ów trup, przez swoje nędze, ból i brud idący,
uczuwa, że mu w piersi bije serce żywe.

I z krzykiem: ave! ave! modli się w zachwycie:
Bądź pozdrowion, napoju, który wracasz życie!
Bądź pozdrowiona, karmi, która żywisz ducha!...
I wiosnę w sobie czuje młodą — a dokoła
pachnie kosodrzewina i wonieją zioła,
i szumi las, lub pustki nieskończonej słucha.

*
*   *

Pójdźcie do nas wy, którzy w dolinach cierpicie.
(mówią góry) — wy wszyscy nędzni, słabi, cisi,
patrzcie: niebo nad wami śmiałe, wielkie wisi,
bujne, wielkie wystrzela dookoła życie.

Niech tęsknota się waszych serc uczepi... Marzcie
o czemś Niedoścignionem... Kto pożąda Boga,

ten już przebóstwia duszę... Z serc mgła i szeżoga
niech zejdzie: serce czyste, jak źródło ukażcie.

A wtenczas się w wód jego odbije krysztale
i odśmiechnie z jasnego głębiny obrusa
światło, podobne temu, co z oczu Chrystusa
szło na ludzi, jak czyste i przejrzyste fale.

Z SERYI I.

PATRZĄC KU TATROM.

Tatry! spoglądam z tęsknoty żałobą
Ku wam, błyszczącym w słońca zorzy złotej...
Na długo ja się pożegnałem z tobą
Kolebko moja... Dzisiaj w miejskich murach —
Szlę sokołemi myśl ku tobie loty,
Co wraca do mnie na łabędzich piórach
Z tęsknoty pieśnią...

Skały wysokie! Na wasz łańcuch siny
Piętrzący słońcu zaporę niezmierną,
Pierwszy raz oczy spojrzały dzieciny,
Jedyne słodkie tam patrzały lata:
Więc pamięć moja zostanie wam wierną,
Myśl wróci do was z najdalszych stron świata
Skały me, skały!...

Lasy szumiące! W waszem smętnem pieniu
Ileż zaklętych słyszałem powieści...
Tajemniczością rozmarzony cieniu
Wieko z przeszłości odrywałem trumny...
Kiedyż mi, kiedy znowu zaszeleści
W koronach waszych halny wicher szumny
Lasy me, lasy!

Rzeki srebrzyste! Jako wasze zdroje
Z niewyczerpanych nigdy krynic płyną;
Tak wiecznem źródłem żądz jest serce moje...
Lecz cóż i po was i po nich zostanie?
Ja wznoszę ogrom, by stał się ruiną
Wy gnacie, aby zginąć w oceanie
Rzeki me, rzeki!...

Orle podniebny! Jak ciebie wokoło
Ciemnych obłoków otaczają fale;
Tak mnie sny smutne wieńczą młode czoło...
I drogę mamy podobną, choć różną
Bo ty ku słońcu wciąż dążysz wytrwale,
Ja, człowiek, szczęścia szukam... obaj próżno
A jednak wiecznie.

Któż młody nie drży przed tem, co dziś czeka?
Chyba ten, który zatarł w swojej duszy
Znamię szlachetnej godności człowieka
I skroń ustroił nikczemności godły;

Temu zwycięstwo!... Tak na roli głuszy
Niewypleniony chwast brzydki i podły
Kwiaty szlachetne...

O! gdybym wrócić mógł, gdzie Tatr granity
W koronie srebrnych lodów stoją lśniące!...
Świat ludzki z ułud przedemną odkryty
Zda mi się kołem nieszczęść i podłości...
Tam, gdzie nikomu nie przyświeca słońce,
W górskim pustkowiu, choć bezduszne, gości
Tam czyste piękno...

Za niem to — często dotknięty boleśnie —
Szlę myśl ku ziemi tatrzańskiej dalekiej;
Niech chociaż chwilę zapomni tam we śnie.
O życiu naszem tak smutnem i wstrętnem,
Które naznaczą przyszłe, lepsze wieki
Okropnem, nigdy nie zatartem piętnem
Życia Kainów!...

Z VI. SERYI „POEZYI.“

Ciche, mistyczne Tatry, owe wieczne głusze
zimowych, śnieżnych pustyń, owe zapadliska
niedostępne wśród złomów, gdzie jeden się wciska
mrok i gdzie wicher końcem swych skrzydeł uderza

z głuchym jękiem, jak końskie na polu kopyto,
uderzające w zbroję martwego rycerza:
ty pustko w siebie wołasz błędną ludzką duszę...

Ty pustko nieskalana, kędy myśl człowieka
w dumną, zimną samotność wolno się odwleka,
jak lew ranny w pieczarę zapadłą i skrytą;
ty pustko nieskalana, gdzie się dusza rzuca
zmęczona i ponura, by z krwi chłodzić płuca,
oczy myć z kurzu, ręce ogarnywać z błota...

O Tatry! jakże drogą jest wasza martwota!
Ten chram, kędy ofiarę niezmiernemu Bogu
odprawia wiatr u skały lodowej ołtarza,
a tej mszy słucha kornie zwieszonych milczący
tłum i białego lasu przepastna ciemnota
i kędyś uczepiony na szczytnym rogu
blask wschodzącego słońca, co lody rozżarza,
nakształt lampy ofiarnej, u stropu wiszącej...

A kiedy się gwiazdami zaświecą przestrzenie
wiekuistego nieba i nieprzeniknione
zejdzie na ziemię nocy zimowej milczenie;
wówczas mi się wydaje, że już lat tysiące
ubiegły, że już życie dawno pogrzebione,
i że jest to dusz ludzkich dawno niepamiętnych,
dusz do szału zuchwałych, do szaleństwa smęt-
nych,
uroczysko grobowe, senne i milczące.

HALA.

Cudna, złota jutrzenko wśród mroków granitu!
Senna zatoko pośród spiętrzonych fal cieśni!
Jasny kwiecie wśród lasu, cicha, słodka pieśni
wśród szumu trąb grzmiącego pod sklepy błę-
kitu...

O halo górska! Oczy omdlały z zachwytu —
twój widok roześpiewi duszę i roześni
i marzyć na twem łonie zielonem bezkreśniej,
niż tam — na czole skalnej piramidy szczytu.

Tu obróciwszy ku złotemu słońcu
i ku białym obłokom na błękitnem niebie,
można świata zapomnieć i zapomnieć siebie —

utopić duszę całą w wód i lasów szumie
i w tej upajającej, bezkreśnej zadumie
chcieć śnić do życia końca i po życia końcu...

O JANOSIKOWYM TURNIEJU.

W Budzynie na wzniesieniu król siadł na złoty
tron,
zjechali się magnaci ze czterech kraju stron,

zjechali się magnaci ze zamków i ze wsi —
wyprawiał król turnieje ku lubej córki czci.

Otrąbią heroldowie królewskich zabaw czas,
jechali wnet panowie — dwunastu jedzie wraz;
Bathyani na ich czele, z królewskiej wiódł się
krwi,
tuż książe Esterhazy od złotej zbroi lśni;

Markgraf Pallavicini szkarłatny czaprak miał,
czerwony mu proporzec z długiej kopii wiał;
graf Erdoedy i Palffy, Festetics, młody zuch,
i dumnych z swej urody hrabiów Toekoelych
dwóch.

Tuż czterej inni jadą, konie pod nimi rżą,
pancerze polerowne na piersiach im się szklą,
lamparcie centkowane skóry zwisają z bark
i dumne pióropusze muskają hardy kark.

Wjechali na arenę, przed królem skłonią się —
o dank królewny walczyć każdy z rycerzy chce —
wtem wszedł od furty pola między rycerzy
chłop
i skłonił się królowi czapką do samych stóp.

Królu — tak się odezwał — przychodzę skargę
wnieść,

za hańbę naszych dziewek, za chłopskich kobiet cześć!
Dwunastu tych rycerzy dwanaście naszych dziew
uwiodło w chłopskich siołach — — niech płynie krew za krew!

W dwunastu chatach hańba, w dwunastu chatach płacz —
Królu na złotym tronie — wysłuchać mię dziś racz!
Być musi krwi spłukanie, być musi krwawa lić!
Za wtyd słowiańskich dziewek ja się przychodzę mścić.

Cisza zaległa w koło, w zdumieniu każdy stał.
Ktoś ty jest — król się pyta — coś do mnie mówić śmiał?
Hetman zbójecki jestem, Janosik rodem z gór.
Zdumiał się król na tronie i z królem cały dwór.

I na królewskie lico zwolna wystąpił gniew,
Zjeżyły mu się wąsy, zmarszczyła siwa brew,
popatrzył na dwunastu panów węgierskich huf —
dwanaście pod piórami w dół się schyliło głów.

Jakże to walczyć żądasz? czołem w dwanaście czół?

Janosik odrzekł na to: Z wszystkimi królu,
wspołł!
Jeden wiatr zedmie, królu, zboże z dwunastu pól—
dwunastu tych rycerzy mej jednej garści zwól.

Król skinął berłem z tronu, zagrzmiały trąby wraz,
Janosik czuchę zezuł, poprawił sobie pas.
Juhaską miał koszulę, przy portkach złoty sznur;
sam król dziwował mu się i z królem cały dwór.

U czapki złotych blaszek błyskotał mu się pęk,
co tylko głową ruszył, czyniła czapka dźwięk;
miał w toporzysko wbity mosiężnych kółek rzęd,
co kroczył, to zazberczał. Podkówki miał u pięt.

Ścisnął ciupagę w garści — tak stanął on to tam.
Zagrali heroldowie, dał berłem znak król sam.
Dwanaście się zmierzyło kopij — drzewiany
las —
w Janosikowe piersi dwanaście kopij wraz.

Hej! jako to tam było w Budzynie złotym, hej?
Co się hań na stolicy królewskiej stało w tej?
Jako tu na dniu onym król się zabawiał tam
ku lubej córki cześci u złotych miasta bram?

Dwanaście w mig skruszonych kopij upadło
w piach;
dwanaście migło mieczów z polerowanych blach.

Hej! kie Janosik skoczy, kie się zamachnie z rąk!
kie gwiźnie po juhasku! kiedy zatoczy krąg!

Jak ogień objechała ciupaga w koło w błysk!
Zwalił się graf Erdoedy przecięty skroś przez
pysk!
Markgraf Pallavicini cuglami konia zdarł,
przez samo ciemię cięty piach krwawy głową tarł.

Runął Bathyani książę na lewo, w prawo dłoń
odcięta razem z mieczem; graf Palffy wziął
przez skroń,
i książę Esterhazy niedługo w piasku legł,
palcami grabał ziemię i zbielał wnet jak śnieg.

Niedługo się ku słońcu grabia Festetics śmiał —
padł martwy obok martwych braci Tekelych ciał
i inni za nim legli u Janosika stóp,
a on oddechnął tęgo, gdy padł dwunasty trup.

I sparł się na ciupadze i bujny stał jak buk;
dwunastu dumnych panów leżało mu u nóg,
dwanaście ostrych mieczów, dwanaście złotych
zbrój —
niemo patrzyli ludzie na ten śmiertelny bój.

I skłonił się Janosik czapką do króla stóp —
nikt słowa nie przemówił, świat milczał jako
grób.

Dwanaście krwawych trupów musiano z pola
nieść —
tak pomścił się Janosik za rodnych dziewek cześć.

Z LEGENDY
O JANOSIKOWEJ ŚMIERCI.

. . . .
. . . .

Szumnie radzą liptowscy panowie
w Mikułaszu, w mieście na stolicy,
śród prastarych wiekuistych borów,
jakoby im dostać Janosika,
Janosika, dobrego zbójnika
co jest ludu słowackiego zdrowie.

Radzą pani, rozmaicie radzą:
jedni z chłopów chcą zrobić obławę,
ku straszliwej zbójnikowi hańbie
chcą go chwycić rodnemi rękoma;
drudzy króla chcą prosić o wojsko,
(króla w Budzie, cesarza we Wiedniu)
wojskiem całem obwarować Tatry,
jako murem zamek na Trenczynie.

Mocny Boże! Miły mocny Boże!
Aż się z stolca, z dębowego krzesła,

porwie żupan skatojański dumny,
w czarną brodę wbije palce krzywe
i zatarga nią, jak grzywą końską.
„Próżne mowy, cześciwi panowie!
krzyknie gromko. Wszystko to już nieraz
próbowano, ale wżdy na darmo!
Szli spędzeni z dziedzin chłopi, wojsko
i hajducy — lecz zawsze na darmo!
Pierwej chwycić niedźwiedzia za kudły,
z podkrzywiańskich wywlec ciemnych lasów,
niźli w ręce dostać Janosika.

Chłopi idą, ale jąć go niechcą,
wojsku znika z przed oczu, jak mara,
hajduk się go lęka, jak upiora.
Siedm lat ssał on niedarmo pierś matki!
Powiadają kiedy smreka chwyci:
dziewka lnu tak lekko nie wytarga,
jak on smreka wydrze z czarnej ziemi.
Powiadają, kiedy zatnie w skałę,
na dwie piędzi ciupaga się wcina;
kiedy krzyknie wodę w stawach męci,
jakby na nią spadło stado gęsi!

Przytem mówią ludzie — tu się żupan
swatojański żupan czarnobrody,
krzyżem świętym przeżegnał pobożnie —
mówią ludzie, stoi w zmowie ze Złem.
Próżno strzelać doń: kula się skiełźnie,

szabla po nim spłynie bez obrazy,
a zaś jego topór niewiedziony
ludzką ręką: rąbie sam, jak żywy,
co mu każe: ludzi, drzewo, kamień.

Ma też — ludzie powiadają — władzę,
zniknąć w oczach, jak cień, bez widoku.
Tak się straci, jak mgła na świtaniu.
Nie dostać nam siłą Janosika,
jak nie pętać dziumbirskie niedźwiedzie.

Ale myślę — swatojański żupan
mówił, czarną chyląc na pierś brodę —
aby wszem w krąg ogłosić wokoło,
że kto zdradą pojmie Janosika,
albo w nasze go przywiezie ręce,
albo życia pozbawi samoręcz:
tysiąc jasnych dostanie dukatów.

To uchwalą jednogłośnie pani,
pani spizcy i pani liptowscy
i hrabiowie orawscy bogaci
i wieść pójdzie od miasta do miasta,
od dziedziny pójdzie do dziedziny,
pójdzie głośna, pójdzie haniebliwa!
że ktoby go do rąk pańskich zdradził,
Janosika, dobrego zbójnika,
a pomoże wziąć mu młode zdrowie:
tysiąc jasnych dostanie dukatów.

Swato-Jański tak żupan doradził,
Szumnie radzą węgierscy panowie.

*

Hej! żałosna wieści po Liptowie,
żałośliwa i nieopłakana!

Poimano orła na Liptowie,
poimano zbójników hetmana...

Poimano w pęta Janosika,
Janosika, dobrego zbójnika,
co był ludu słowackiego zdrowie...

Hej! żałosna wieści po dolinie,
żałośliwa i nieopłakana:
poimano przy bladej dziewczynie
pod Krzywaniem zbójników hetmana.

W drzwi dziewiąte ciupaga się wcięła,
za drzwi dziewięć od Hanki zamknięta;
w drzwiach dziewiątych bez mocy stanęła.

Towarzysze z Huciankami społem
tańcowali precz daleko kołem.

Pas przecięła Hanka krzywym nożem.

Hej! Krzywaniu nad obłoków morzem!...

Z pod Dziumbiru, z puszczy, z ponad źródła
najwyżniejszą wieźli jodłę drwale...
W żyłach ludziom krew gorąca chłódła,
w siwym Wagu dębiły się fale;

szumiał Liptów łzami popod góry,
jakby po nim Wag się przelał wtóry,
jakby od gór zbiegły siklawice...

Postawili drwale szubienicę.
W gotowości kaci mieli sznury.

A cóżeś ty Krzywaniu wysoki,
zaniewidział, oślepł nad doliną,
żebyś ty dał na konopne troki
Janosika wiązać między konie?

A cóżeś ty, Krzywaniu, oślepnął,
zaniewidział mgłą tumanu siną,
żebyś ty dał zbójników hetmana
po rodzonym wlec w pętach zagonie?

A cożeś ty od mrozu zakrzepnął?...

Hej! żałosna wieści po Liptowie,
żałośliwa i nieopłakana:
poimali orła żupanowie,
cała na nim koszulka stargana.

Całe na nim stargane odzienie,
haftowane jedwabiem i złotem —
(samaś, sama, Hanka haftowała!)
wleką ci go przez wody, kamienie,
obryzgują piękną odzież błotem,
sznur się wgryza do młodego ciała,
drogie dziewkom ciało gryzą pęta...

Cała na nim koszulka pocięta,
całe na nim stargane odzienie,
haftowane jedwabiem i złotem —
(samaś, sama, Hanka, haftowała!)
wleką ci go przez wody, kamienie,
jasne lico obryzgują błotem,
do ślicznego sznur się wgryza ciała...

Posłał pismo Janosik do króla,
do Budzyna, gdzie jest brama złota,
w jasną rówień, nad Dunaj głęboki;
Królu! nie daj mi odjąć żywota,
ja ci stanę za pułk wojska twego,
a za drugi mój topór obstoi,
a za trzeci towarzysze moi.
Podpisał się po chrzestnem imieniu.

Pismo posłał do króla samego,
w jasną rówień, na kastel wysoki,
czekał stamtąd wysłańca w więzieniu.

Hej! zajęczały góry i wąwozy — —
nie czekali wysłańca żupani,
wywiedli go spiętego w powrozy,
po pod czarną wiedli szubienicę.

Nie zbielało Janosika lice.

Hej żupani! wy przejaśni pani!
mówi do nich Janosik w powrozie —
Dajcie mi się jeszcze raz ucieszyć,
niech mi zagra muzykant na kozie;
niechajcie mi mej śmierci przyśpieszyć;
nim se jeszcze raz użyję tańca!
niech se jeszcze by raz pójdę w koło!

(A on czekał od króla wysłańca).

Wołali mu kobziarza z pastwiska:
z okowami na nogach szedł koło
dwanast razy szubienicę w koło,
dwanast razy przeszedł koło ziemi
z łańcuchami u nóg żelaznemi,
a pot z włosów mu nie padł na czoło.

Oniemieli ludzie z dziwowiska.

Nie czekali wysłańca żupani;
hak pod żebro ci mu mistrze wbili,
wywlekli go wysoko za sznury.

Hej! — powiedział im Janosik z góry —
wy czerwoni mistrzowie wybrani:
kiedyście mnie haw już zawiesili,
zawiesili na tym krzywym haku,
cobym sobie poglądał doliną,
hej! doliną, za zbójecką percią:
niech się jeszcze ucieszę przed śmiercią,
niech se jeszcze pokurzę tabaku...

Podali mu fajkę z macherzyną;
funt wykurzył, a patrzał doliną — —
hej! doliną poglądał przed śmiercią...

MARSZ ZBÓJECKI
ZE „SKALNEGO PODHALA."

Hej! idem w las — piórko sie mi migoce!
Hej! idem w las — dudni ziemia gdy krocę!
Ka wywinem ciupazecką — krew cerwonom
wytocę!
Ka obyrtnem siekierecką — krew mi z pod nóg
bulkoce!

Ciemniuśka noc ogień lasem prześwieca! —
Ciemniuśka noc — złe sie złemu zaleca!
Na polanie popod jedle — watra w lesie sie pali;

cy sie grzejom dziwozony — cy jom carci skrzesali?
„Ty mlady brat — ty sa s nami stowarzis!
Jak padnie ci — budzies cirnom ziemie gryz,
a jak padnie — talarkami, dukotami budzies siał,
na kazdy dzień freierećku — kochanećku bu-
dzies miał!“

Hej bratowie! — ja sa ku wam zwerbuje!
Nie płaccie mi — kohanecki leluje!
Nie płaccie mi, siostry moje — jabłonecki bie-
lućkie!

Nie pładze mi, matko, ojce — gołąbecki si-
wiućkie!
Nie płaccie mi — jo se ide zbijać, kraść!
Za dak mi las — za posłanie mokwa, chraść!
Jak mi padnie talarami — dukotami bedem siał!
A jak padnie siubienicom — budzie se mnom
wiater chwiał!

Z DZIEŁA: NA SKALNEM PODHALU T. IV.

SZKIC OPOWIEŚCI O ZWYRTAŁOWI MUZYCE.

(O ZWYRTALE MUZYKANCIE).

Umarł stary Zwyrtała i dusza jego wybrała się do nieba, z bausami na gębie i ze skrzypcami pod pazuchą.

Patrzy: zamknione.

Myśli se: burzył na dźwierzak niebees, bo śpiom. Siadł na słupek popod bramą, siedzi ale mu się ukotwiło wnet, wyjął skrzypce z pod pazuchy, przycisnął zębami kołki, brząknął na strunach, wsparł skrzypce pod lewe ramię, pociągnął smyczkiem. Zrazu cichutko, bo się bał obudzić, ale się zagrał, przycisnął mocniej. A jak sobie przygrał, wspomniał sobie babę, co ostała na ziemi, a jak sobie babę wspomniał, zaraz zaśpiewał:

„Bodaj sie świeńciła kawalerska strona!
Kany sie obejźrem, wsęndyl moja zona!..."

Jak zaśpiewał, a głośno, usłyszał z za bramy: Któż tam?

— Świenty Pieter — pomyślał Zwyrtała, ale odpowiedział śmiało, bo za cysarki za Tereski rajtary go do kilysjeruk zabrały i dwenast rók hań słuzeł:

— Jo!
— Jaki „jo“?
— Zwyrtała.
— Czego się drzesz?
— Nie drem sie nijako, jinok śpiewał.
— Bodaj cie dyab — urwało się — z takiem śpiewaniem! A coś tak późno przyszedł?
— Jedźek ta cosi unieskorzéł, alejek dopiéro na odwiecerz umar.
— Pod wieczór?! Toś dopiero w pół drogi powinien być!
— He, Świenty Pietrze, jo wartki, Górol.
— A zkądżeś ty?
— Z gór.
— Od Nowego Targu?
— Haj.
— A z jakiej wsi?
— E choć wom powiem, to i tak niebeecie wiedzieć. Cy to hań znocie?
— Ja wszystko znam. Zkądeś?
— Z Muru.
— Jako cię to piszą?
— Marduła Maciek.
— A jak cię wołają?
— Zwyrtała.
— A do was się jak nazywa?
— Do Sęcka.
— No to siédże tam, Sęcku, nim się zrobi dzień. A nie trza hałasić!

— Nie bedem. Miejcie dobrom noc!

— No, no! A cicho!

Usiedział chwilę cichutko Maciek Zwyrtała, ale ku raniu trochę ziąb brał, choć to było w samo lato, znowu przybrząknął na skrzypcach.

A tu jakaś główka jedna, druga, trzecia z nad bramy.

Aniołki.

— Isz, isz — powiada jeden — jak to ładnie gra!

Jak to Zwyrtała usłyszał, jak puści po strunach smyk, jak zabrzęczy na wszystkich czterech naraz „marsia“:

„Hej Madziar pije, hej Madziar płaci“...

— Ach! Jak ślicznie! Jak pięknie! — zawołały Aniołki — Co to za muzyka taka?

— To ze zbójeckiego.

— Ach ze zbójeckiego, ach ze zbójeckiego! — zaczęły wołać aniołki i klaskać w rączki. — Ach! Jak to ślicznie!

Wtem klucz zazgrzypiał w zamku, brama się otwarła; klucznik niebieski, Święty Piotr, w niej stanął.

— Zwyrtała!

— Haw!

— Pójdź!

— Do nieba nie trza pytać![1])

Ale się w mig rozniosło po niebie, że przyszedł Góral, co gra. I doniosło się do Samego Pana Boga, co rano wstawszy przed gankiem siedział i fajkę palił. Nie robił nic, bo to była niedziela.

I jeszcze Zwyrtały nie zakwaterowali, przyszedł anioł, ale już nie taki mały w białej koszulce z białemi skrzydełkami, tylko duży, w zbroi srebrnej i z mieczem z płomienia u boku, a skrzydła miał tęczowe, i powiada:

— Zwyrtała!

— Haw!

— Prawda to, że ty umiesz grać?

— Prowda.

— Zbójeckiego?

— Haj.

— Zagrałbyś?

— Ze cemuzbyk nimiał zagrać? Przed kim?

— Przed Panem Bogiem.

Skrobnął się Zwyrtała za uchem. Ale tylko raz. Marduła był, a Marduły wse chłopy były śmiałe.

— Zagrom.

— No to pojdze — powiada anioł z góralska.

— Przepytujem tys bars pieknie, cy tys beli

---

[1]) prosić.

moze kie w holak? — zapytał się Zwyrtała grzecznie.

Uśmiechnął się anioł.

— Byłem — powiada.

— Zje kie? Ale prosem przebocyć, co jek telo śmiały.

— Jak się Polacy z Tatarami bili, w Kościeliskach, do pomocy.

Z niedowierzaniem spojrzał Zwyrtała na anioła; młody był — na dwadzieścia lat najwięcej.

Roześmiał się anioł, dorozumiał się o co chodzi.

— Tu się w niebie nie starze — mówi.

Zawstydził się Zwyrtała i odpowiada: Nieg sie nie cudujom. Kazbyś ta sytkiemu naroz w niebie zrozumiał? Na ziemi nie rozumis, a nie dopiero tu!

— No chodź — rzekł mu anioł i poszedł naprzód.

Idzie ulicą, szeroką (ka ta Ludźmirskiej w mieście [1]) ku niej! nic nie stoi!), po obu stronach domy srebrne, ka Świenci siadajom, aż przyszli przed złoty dom, a przed domem na ganku Pan Bóg. Fajkę pokurzuje.

Pokłonił się Zwyrtała pięknie, kiwnął mu Pan Bóg głową.

---

[1]) W Nowym Targu.

A dookoła aniołowie mali, duzi, archaniołowie w złotych zbrojach, Święci, Święte, i ci inni co w niebie są, chłopy, baby a bab ćma! Zleciało się to ze syćkik stron na muzykę! Cudecki robiły, tak się jedna przez drugą pchała, te dusze.

— No — ozwał się Pan Bóg — Zwyrtała graj.

A Zwyrtała znowu się pokłonił Panu Bogu i powiada: Kłaniom sie najpokorni Ig Miłości Wielkomoznemu Panu, a cy tys niewiedzom, nima tu jakik Podhalańców młodyk w tém niebie?

— Po co?

— Bo kie zatońcy, to sie lepi gro.

Roześmiał się Pan Bóg, dał znak aniołom. Polecieli dwa, ale wrócili z niczem.

— Jest paru, ale starych — melduje jeden.

— To na nic — powiada Zwyrtała. — Kaby ci ta stary tońcéł! A kaz som jest ci młodzi? Bo ta przecie i młodemu sie trefi, co umre.

A święty Jerzy powiada:

W czyścu by ich szukać potrzeba.

— Ej wiera! Terozeście wej panosku dobrze pedzieli! W cyjscu! — powiada Zwyrtała. — Hań bedom! Bedzie kerdel![1]) Jedyć wiem: Marduła Jasiek, tén co go zabiéł Brzęk z pod Łysyńca, przi Howańcowej Bronci, hań; béł

---

[1]) stado.

złodziej. Matejów Franek hań — obiesili go w Mikułasie, — cysto pieknie styry karcymy na Luptowie zrabował i pozpodpalował, cy tén pote niebedzie w piekle? Majercyk, Pietrzków, co go wóz z rudom na Skupniowym Upłazie prziwalél, straśnie sie rad bijał — e, kieby tén haw przisel! Niebyło nadeń tonecnika na sto wsi dookoła —

Ale Pan Bóg skinął ręką.

— Graj!

— Jakom?

— Zbójeckiego.

— Jak zbójeckiego, to zbójeckiego.

Przykręcił Zwyrtała kołki zębami, dostroił, pociągnął smyczkiem, do ostatka wygrał, od

„Hej Janicku serdecko
kaześ podział piórecko
cok ci dała?
A jo jechoł do wojny,
upadło mi do wody
duso moja!" —

przez

„Hej baca nas, baca nas
dobryk chłopców na zbój mas!" —

aż do

bo hań hamernicy tańcujom! —

wygrał sycko do imentu.

Pokiwał Pan Bóg głową, zwidziało się Mu, dopiero Święci, aniołowie, zbawieni za Nim,

e, tak wom powiem, to sie juz dość nakwalić nimogli tego Zwyrtałowego grania. A on straśnie rad był, jaze mu sie bausy ziżyły.

Hej, ale co! Pan Bóg poszedł do swojego pomieszkania, a tu dopiero Święci, Święte, janiołowie Zwyrtałe pytać: Graj! graj! A śpiewać umiesz?

A Zwyrtała nieodpowiedział, tylko zaraz na Miętusiańskom nutę:

Kie jo se zaśpiwom na pośród polany,
teloz by zagrały w kościele organy!"... —

a wszyscy na to: Ach! Jak ślicznie! Ach! Jak pięknie!...

Tak Zwyrtała gra, śpiewa i co się nierobi! Idzie Święty Józef, Panjezusów ociec bez niebo, a tu słyszy duszę śpiewającą, jakomsi dziéwecką duse:

„Dopiro mi beło dwanaście miesięcy,
juz chodzili ku mnie chłopcy śpiwajęcy!" —

słucha święty Józef, jeszcze się nie nasłuchał, a tu z drugiej strony jakasi męzka dusza, basem:

„Kiebyś ty dziéwcyno nie była rodzina,
joby tego zabił, kogo byś lubiła!

Jeszcze się Święty Józef nie osatał, co to, a tu,

poznał z trzeciej strony anielskim tenorem, ale to tak z góry, na moc, jaze hucało po niebie:

„Pobij Boze, pobij tego owcaricka,
co jego owiecki idom do wirsycka!“

Złapał się Święty Józef za głowę! Kiz to sto dziadów?! — pada. — Je coz to takiego?!

Leci ku Świętemu Piotrowi, a tu, w tem miejscu, gdzie się dusze zbawione anielskich pieśni uczyć mają, nie archanioł Gabryel pośrodku ze złotą pałeczką i trąbką stoi, tylko Zwyrtała na krześle siedzi i gra, a koło niego dusze męzkie, żeńskie i aniołowie już dość zdatnie chórem:

„Pódźmy jus du domu — nocka ciemna,
oby nom niebeła — nadaremna,
węgierska ślachta — piniązki mo,
my śwarne hłopoki, to nom ik do!“...

— Chryste Jezu Panie! — krzyknął Święty Józef i do Świętego Piotra jeszcze warciej się poniósł: co się to robi?!

Przychodzi w te razy archanioł Gabryel i powiada, że niechce nikt w niebie inaczej śpiewać, tylko po góralsku. Nawet święta Cecylijo.

— Zwyrtała ich uczy — powiada — cud [1])

---

[1]) nadzwyczajne rzeczy.

sie robi! Nowych pieśni się mieli nauczyć, jutro święto Matki Boskiej Zielnej, nie umie nikt nic!

Przyszła noc, słuchają: ztąd i ztąd idą góralskie nuty, całe niebo — jaz giełcy!

Na rano powiada święty Pieter do archanioła Gabryela: Tak nie może być. Nie zawołałby pan tego Zwyrtały?

— A dobrze.

Idzie Zwyrtała, gęśle pod pachą; pokłonił się.

— Zwyrtała! — powiada święty Piotr. — Nie poszedłbyś ty gdzie indziej?

— Z haw stela?

— Tak.

— Z nieba?

— Aha!

— Ze ka?

— Ka? — powtórzył święty Piotr — To też to...

I zamyślił się.

— A bez coz tak? — pyta się Zwyrtała. — Dėj mie haw po śmierzci posłali.

— To też to właśnie...

— Nie krodek, nie zbijał, nie bieł sie —

— Wiem, wiem!

— No to co?

— Ale wszyscy w niebie po góralsku śpiewają, odkądeś ty tu!

— E! To to to?

— Zwyrtała! — powiada święty Piotr — zatrzymał się. — Hm — z nieba no to gdzie?

A Zwyrtała pomilczał trochę, skrobnął się za uchem i mówi: E, prosem Ig Miłości, o to niek Ig głowa nie boli! Na mnie to ta hojco przistanie! Idem!

— Dokąd?

— Je skondek prziseł.

— Na ziemię?

— Ze ba haj.

— Ja cię myślałem na jaką gwiazdę dać —

— Nie pytom! [1]) Nijakik gwiazdów nietrza sukać! Idem hań, dołu.

— Z nieba?

— E, moji ślicni piekni, jo i tam niebo nojdem! Beem se hodziéł po lasak, po dolinak grający. Beem strzóg, coby starodowne nuty nie wymarły. Siednie hłopok z gęślami przi owcak — zagrom mu cichućko za turnie. Zaśpiewo dziéwce za krowami w upłazie — pomogem jéj. Pudom starzy gazdowie w las, drzewo ścinać, zabrzęcem im za usami, jako ojcowie grawali.

A niebedzie nikogo, to bedzie woda po potokak, bedom stawy zamarźnione, ka wiater gwizdo lodami, bedzie bór, mnie sie hań nie ukotwi, ani za niebem nie zacnie. Jo kiek zéł, tok nieroz Pana Boga pytał, coby mi po śmierzci

---

[1]) Nie proszę, niechcę.

jino wiecnie w holak ostać podzwoléł. Jo o inkse niebo niestojem, ani byk gór na inacy, hojby mi siedem niebów dawali, nie mieniał!

— No to, Zwyrtała, idź, bobyś nam tu całe niebo zgóralszczył! A niebędziesz se krzywdował?

A Zwyrtała aż skrzypce ze smyczkiem ku głowie podniósł!

— Mnie hań niebo, ka i serce — powiada.

I pokłonił się pięknie i wyszedł za niebieską bramę na gościniec ku ziemi — noc była. Mleczną drogą na dół szedł, skrzypce pod pachą niesęcy, a kiedy się już na ślebodzie uczuł, krzyknął: Hu ha! – i z góry w nutę uderzył:

„Górol jo se Górol, z popod samyk Tater!
Dyscyk mnie odkompał, odkołysał wiater!

Krzywaniu, Krzywaniu, coś ty tak osowiał?
Cy cie śnieg przzipruséł cy cie wietrzyk owiał?

Hej kozicki, kozicki, wtorędys hadzajom?
W Dolinie Pior-zystej tam one bywajom!

Janicku, Janicku, sto hromów do tobie,
po całéj dziedzinie idzie hyr o tobie!

Nie wstycie się ludzie, macie zbója w rodzie,
zbójnik pudzie w niebo na samiućkim przodzie!...

I szedł dalej Zwyrtała śpiewajęcy drogą mleczną w dół, aż zeszedł ku szczytom na skalane [1]) perci i wstąpił w głębię Tatr.

---

[1]) skalne

OBJAŚNIENIA.

bausy — wąsy, lub faworyty, albo to i to.
odwiecerz — koło zachodu słońca.
burzył na dźwierzak — łomotał we drzwi.
ukotwiło się — uprzykrzyło się.
kilysjeruk — kirasyerów.
rajtary — jeźdzcy cesarzowej Maryi Teresy.
dwenast rók — dwanaście lat.
nietrza pytać — nietrzeba prosić.
Przepytujem — przepraszam.
w holak — w halach (w górach, w Tatrach).
nie starze — nie starzeje.
cudujom — dziwią.
Ludźmirska — ulica w Nowym Targu.
hamernicy — robotnicy hut żelaznych.
Teloz by — to tak jakby.
cud się robi — straszne rzeczy, nadzwyczajne.
giełcy — rozlega się echo.
osatał się — opamiętał.
z haw stela — stąd.
Ze ka — gdzie, dokąd.
hojco — cobądź.
przistanie — wystarczy, dobrze dla mnie.
za turnie — z za turni.
skalany — skalny, kamienisty, skalisty.
perci — ścieżki.
sto hromów do tobie — sto gromów do ciebie.
Pieśni są oryginalne góralskie.

SPIS RZECZY.

Str.
J. KANTOR: Pieśniarze podhala (szkic literacki) 7
SEWERYN GOSZCZYŃSKI:
Z Sobótki 63
O Janosiku, hetmanie zbójnickim 64
Palenie Sobótki 65
Powieść o dziwożonach 67
Dolina Kościeliska 70
Powieść o Mnichu 72
Z fragmentów zaczętych pieśni z „Kościeliska" 73
Mnich 74
Tatry 75
WINCENTY POL:
Z podróży 81
Tatry 88
EDMUND WASILEWSKI:
Marzenia w Tatrach 93
Widok Babiej góry 95
B. Z. STĘCZYŃSKI:
Łomnica 99
Siklawa 100

Str.

X. MANIEWSKI (Podtatrzanin):
Tatry 103
Pisana 104
A. ASNYK:
Z cyklu: W Tatrach 109
Morskie Oko 111
Kościeliska 113
Limba 116
Giewont 117
FR. H. NOWICKI:
Z Obrazów Pustyni 123
Zawrat 124
Zamarzły staw pod Zawratem 125
Siklawa 125
Morskie Oko 126
Z cyklu: Tragedya pustyni. Kozica 127
Szarotka 128
J. KASPROWICZ:
Z Wichrów i Fal: II. Tatry 133
Wiatr zgina sieroce smreki 137
MACIEJ SZUKIEWICZ:
Z cyklu: Tatry. Zakopiańska Bajka 141
Rankiem w Morskiem Oku 144
FR. MIRANDOLLA:
Z cyklu: In hac lacrimarum valle 151
WANDA KRZYŻANOWSKA: O pójść tam 153
WACŁAW WOLSKI:
Z cyklu: Ballady Tatrzańskie: Kamienni Święci 159
Kościół w Poroninie 161

Str.

Z „Sonetów Tatrzańskich": O Zmierzchu 162
Tatry w Zimie 163

L. STAFF:
Na górach 167

W. L. ANCZYC:
Tatry 171

JERZY ŻUŁAWSKI:
Noc na Morskiem Oku 177
Na Mięguszowieckiej przełęczy 177
Głos z przepaści 178
We mgle 179

FELIKS GWIŻDŻ:
Z cyklu: Fale: Hej! śwarny ci jo chłopiec 187
Sabałowe widzenie 188
W słoneczne rano 191
Szum fal 192
Jabłonie 193

JÓZEF JEDLICZ:
Słoneczna pieśń: Pójdę na ciche Pola 197
Świetlica 198
Tantale 198
O Zmierzchu 199
Jerzyki 200
Powrót 200

WŁADYSŁAW ORKAN:
Z tej smutnej ziemi: Na hali 205
Z gór: Jest kraj nieznanych cudów 206
Z cyklu: Po ugorach: Po ugorach, wśród zasianych zbożem pól 207

Str

Człek i drzewo 209
Po burzy 209
O ziemio! 211

LEON RYGIER
Noc nad Morskiem Okiem 217

KAZIMIERZ BARANOWSKI
Kiedy nas smutek 223

KORNEL MAKUSZYŃSKI
Na szczycie samotnym 227

HENRYK ZBIERZCHOWSKI
Wicher halny 233

STANISŁAW WITKIEWICZ
„Z Tatr" Ociec Nędza 239

STANISŁAW WYSPIAŃSKI
Z Rapsodu: Bolesław Śmiały 253

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER
Z Tatr. Widok ze Świnicy do Doliny Wierchcichej 263
Pod Rysami 264
W Kościeliskach w nocy 265
Z Kasprowskiego Wierchu 267
Melodya mgieł nocnych 267
Z Fantazyi lirycznej! Poranne biało 269
W pustce 269
Ciemnosmerczyński Staw 270
„Z Tatr". W Białem 272
Przy „Morskiem Oku" 273
Burza 274

	Str.
Z cyklu: Podczas wiatru z Tatr: Kocham Cię wietrze	275
Z cyklu „W Tatrach": Tam w moim kącie	276
Pójdźcie do nas wy	277
Patrząc ku Tatrom	278
Z VI Seryi „Poezyi": Ciche mistyczne Tatry	280
Hala	282
O Janosikowym Turnieju	282
Z Legendy: O Janosikowej śmierci	287
Marsz zbójecki ze „Skalnego Podhala"	294
Na Skalnem Podhalu: Szkic o Zwyrtałowi Muzyce	297
Objaśnienia	311